

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 24 WRZEŚNIA 1927 ROKU

NR 39

TREŚĆ NUMERU: Wezwanie do dyskusji o ustroju szkolnictwa — J. K. Apel do klubu miotełki — *M. H. Szpyrkówna*. Zofja Stryjeńska — *I. J.* Dwa srebrne wiersze: „Strachy na górze”, „Deszcz” — *Felicja Kruszevska*. Katarzyna od gęsi (dok.) — *S. Borowska*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Powódź — *Pani Elżbieta*. Kobieta w świecie i w domu — *R. C. H.* Z książek — *S. O. P.* Odpowiedzi redakcji. Kultura bez salonów i salony bez kultury — *L. Konopacki*. Służba domowa — *W. D.* „Kwiaty ogrodowe” — *Stan. Schönfeld*. Footing — *S. S.* Targi wschodnie — *Pani Elżbieta*. Jak można zużytkować i przyprawić mięso królicze — *J. S.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Ciemne suknie — *Well*. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz” — *Douglas Goldring*, autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Arkusz wzorów.

WEZWANIE DO DYSKUSJI O USTROJU SZKOLNICTWA

System szkolnictwa w Polsce dotychczas nie opiera się na żadnym planie ogólnym. Istnieją szkoły, zakłady wychowawczo-naukowe od najniższych do najwyższych stopni, ale łączy je z sobą tylko przypadkowy zbieg okoliczności, w najlepszym razie korygowanych i sztukowanych, jak się uda...

Opracowanie narodowego systemu szkolnictwa przechodziło do tej pory możliwości państwowe i społeczne.

Mysł o potrzebie reformy, o ustaleniu w zharmonizowanym porządku ram systemu, przetrwała jednak ustawicznie społeczeństwo, mniej czy więcej świadome tego zagadnienia, — oraz fachowców, nauczycieli wychowawców; zmuszała do prób i szkiców umysły na tem polu twórcze. Można z przekonaniem powiedzieć dziś, że reforma szkolnictwa, jego ujednostajnienie i nowy ustrój będzie w Polsce, — jak mało które dzieło ustawodawcze — zdobyty pracą całego społeczeństwa. A jeśli chodzi o idee świeże, reformatorskie w głębszym znaczeniu — to zasługę ich wprowadzenia, wyjaśnienia i spopularyzowania przypisać trzeba głównie, czynnemu i ożywionemu szlachetną wolą — nauczycielstwu. Ono głosiło, wiecowało, zasypywało prasę sprawozdaniami, ministrów fatygowało delegacjami, by móc pojęcia szkoły jednolitej, selekcji młodzieży, przebicia „ślepych ulic” w budowie szkolnictwa, zniesienie automatyzmu świadectw szkolnych, a poparcie amerykanizacji etc. — zaszcześcić w umysłach szerokich warstw społeczeństwa.

Żadna też dotąd ustawa nie przychodziła na świat w okolicznościach tak specjalnych, jak projekt

„Ustawy o Ustroju Szkolnictwa”, jaki wydała w tym miesiącu Komisja, powołana przez p. ministra oświaty. Nad niektórymi projektami ustawowymi ważniejszemi toczy się dyskusja publiczna w prasie i na zgromadzeniach fachowych i wiecowych. Lecz odbywa się to niejako obok faktu pojawienia się projektu, który dany minister, czy rada ministrów, czy Sejm wreszcie, rzuca na forum ustawodawcze, nie troszcząc się (po-zorniel), kto i jakim okiem spojrzy na noworodka. W tym zaś wypadku jest zupełnie inaczej.

Minister oświaty dr. Gustaw Dobrucki robi może eksperyment polityczno-taktyczny w duchu demokratycznym. Robi rzecz nową i interesującą. Oddał z zamiarem i z naciskiem nawet projekt opracowanej pod jego przewodnictwem ustawy o ustroju szkolnictwa — pod dyskusję publiczną całego społeczeństwa, kwestją tą zainteresowanego. Zwłaszcza, gdy chodzi o krytykowanie i dawanie rad zbawiennych...

Tak więc p. minister oświaty podsyca dyskusje, wiecowanie, rezolucje — potop rezolucyj! Co więcej — rezolucje te chce mieć na swem biurku (choćby w przenośni), chce, by społeczeństwo zeszło z jałowego terenu gadaniny bez konsekwencji i zastanowiło się, jak samo myśli i czego chce naprawdę. Na papierze przygważdża się głupstwo, lub idea.

Pochodzące od społeczeństwa wnioski p. minister oświaty weźmie pod rozwagę. Czyli, że mogą one wpłynąć na pewne zmiany projektu...

Sam projekt w obecnej postaci, wydany w broszurze, jako materiał do dyskusji — opatrzony stre-

szczoną powyżej przedmową p. d-ra Dobruckiego jest, ustawą ściśle ramową. Do jej artykułów — zaledwie 33-ech — potrzeba zbudować programy naukowo-wychowawcze, potrzeba jeszcze kilkudziesięciu rozporządzeń i paru ustaw. Nie znaczy to, by projekt nie był konkretny — jest raczej bardzo skondensowany. Dlatego też zapewne dodano przy tekście projektu obszernie uwagi i objaśnienia.

Według tekstu projektu, podstawą organizacyjną i programową szkolnictwa ma być szkoła powszechna siedmioletnia. Znaczy to, że nie powinno być w Polsce nikogo, kto nie przeszedłby przez tę szkołę w jej pełnym rozwinięciu. Jest to ideał daleki, dziś, gdy olbrzymia większość jest szkół jednostopniowych do czterostopniowych — ale ideału tego nie wyrzekłby się słusznie żaden ustawodawca-obywatel.

Grupy i rodzaje szkół pozostają naogół te same, co dziś: przedszkola, szkoły powszechne, doksztalcające, średnie ogólnokształcące, szkoły i kursy zawodowe, szkoły wyższe i akademickie. Zmienić się ma zato zasadniczo ich wzajemny stosunek i powiązanie stopni szkolnictwa między sobą. Zasada szkoły jednolitej, uwidoczniła się w postanowieniu, iż szkoła średnia ogólnokształcąca (gimnazja, licea) ma być 5-cio letnia, z chwilą, gdy wyższe klasy szkoły powszechnej dojdą do należytego rozwoju. Projekt zastrzega w tym wypadku drogę ewolucyjną, a decyzję stopniowego zwijania niższych klas szkoły średniej pozostawia wyłącznie ministrowi oświaty.

Szkoła średnia 5-cio klasowa, uwieńczona maturą (co niekoniecznie ma oznaczać egzamin, lecz może być próbą innego rodzaju), ma dawać wstęp do

szkół wyższych, lub akademickich. Mogą być także trzyletnie szkoły średnie, przygotowujące do zawodów praktycznych i do szkół i kursów zawodowych.

Szkolnictwo zawodowe ma być rozbudowane bardzo szeroko, nietylko co do jakości przedmiotów i specjalizacji, lecz i pod względem stopnia wiedzy. Będą tedy przyjmowani kandydaci z ukończoną szkołą powszechną (niższe kursy i szkoły), lub z trzyletnią szkołą średnią (wyższe). Ułatwione przejście do szkół zawodowych ma na celu poparcie technicznego i gospodarczego pola pracy, zbyt dotychczas w Polsce zaniedbanego, przy równoczesnym przeroście niedokształconej, wykolejonej pół i ćwierć-inteligencji. Daje się natomiast i młodzieży szkół zawodowych, a nawet samoukom, możliwość wstąpienia do wyższych, ogólnokształcących zakładów, do uniwersytetu włącznie, o ile kandydaci wykażą się odpowiednimi wynikami. Egzamin wstępny, konkursowy, lub uzupełniający mają zastąpić konieczne dotychczas papierki świadectw i dyplomów.

Warto podkreślić, że projekt w żadnym punkcie nie wyodrębnia szkół męskich, a żeńskich i nie rozgranicza uczniów, a uczenic.

Oczywiście, projekt nasunie szerokim kołom społeczeństwa tysiące uwag i wątpliwości. Niewątpliwym jest jednak to, że daje pierwszy szeroki i logiczny całokształt ustroju szkolnego, że wprowadza pewne nowe idee i niemało widoków na postęp oświaty w Polsce; podkreśla walory wykształcenia nietylko umysłowego, lecz i technicznego, ręcznego, gospodarczego, w nadziei usunięcia wielu dzisiejszych bolączek społecznych i państwowych.

J. K.

M. H. SZPYRKÓWNA

APEL DO KLUBU MIOTEŁKI

Istnieje — naturalnie w Ameryce!... (bez czegoś amerykańskiego, zdaje się, żadnego artykułu, nie popełni!) — istnieje tedy w Ameryce, pomiędzy tysiącem innych, jedno stowarzyszenie szczególniejsze. Nie powiem, że bym nie znała bardziej dziwnych, i nie dlatego o niem piszę; nie znam natomiast bardziej potrzebnych dla wprowadzenia pewnego ładu w nasz nieporządek domowy. Mówię o domach klasy ubogiej, a zwłaszcza nieoświeconej, bo ubóstwo niezawsze jest symbolem niechlujstwa. Powiedziałabym nawet, że zwiedzając małe domki zapomnianych od Boga, ludzi i magistratu dzielnic, zastanawiałam się nad względnym porządkiem, jaki tam panuje: myślę, że jest to szkoła twardej konieczności. Jeżeli w małej izdebce sypia siedem osób, każda musi dobrze pilnować swego miejsca i rzeczy, ażeby nie nadeprnąć czyjś prawa

i nie dostać kopniaka. Ludzie ubodzy mają tak niemiędozę rzeczy i tak je ceniają, że przeładowania obawiać się niema powodu. Idzie więcej o sferę już trochę nawet może zasobniejszą, a która, mając pewien zasób mebli i przedmiotów, nie umie ich skoordynować i użyć odpowiednio; przez co mieszkanie jest pełne zaśmiecających je rupieci. Dalej znów idą te mieszkania najuboższych, gdzie bądź ostatnia nędza, bądź choroba, czy alkohol, wytworzyły zupełną abnegację, przekształcając i tak straszliwe nieraz nory w zupełny barłóg bydłęcy.

Niestety, nie pamiętam w tej chwili, jak się owo stowarzyszenie nazywa. Może jakie Błękitne czy Szare Siostry, może „Starsze Siostry“ („Boy Sisters“) — może zupełnie zresztą inaczej. Ale dość, że jest to związek kobiet, które postawiły sobie jeden z naj

owocniejszych chyba—co do wpływu faktycznego na życie—celów: uczenie porządku nie słowem, a czynem — najwspanialsza pedagogja świata.

Myszę, że dlatego mię to tak zachwyca, że sama z konieczności, jako publicystka, teoretyzuję. Zawiadamiam, niejako, tylko inne, praktycznym życiem żyjące kobiety: — Moje drogie! możnaby zrobić tak a tak, trzebaby zrobić to a to — lecz stokrotnie mam więcej szacunku i uznania dla tych, którzy wprowadzają w czyn teorię, niż dla jej głosicieli. Ale każdemu, widocznie—swoje! Niech więc chociaż powiem.

Otóż owe Nieznane Siostry są rodzajem pogotowia o bardzo nieskomplikowanym arsenale środków. Będzie tam trochę bibuły, grubego szarego papieru, kleju, gwoździków rozmaitego kalibru, parę haków, młotek i nieco kolorowej bibułki. Ściereczka. Miotłka. Szczotka. Orędowniczka schludności ubiera się w ochroniarski fartuch, całkowicie kryjący suknię gwoli oszczędności; takż czapeczka na włosy — (komplet, bardzo popularny w Ameryce, jako strój poranny do sprzątania w domu — praktyczny i estetyczny,—u nas nieznanany, a przydałoby się! Zwłaszcza dla gospodyń) i wyrusza w dzielnice mniej reprezentacyjne. Jak tam dochodzą do porozumienia z właścicielkami — Bóg raczy wiedzieć! Przypuszczam, że megery, skłonne przepędzić miotłą (o ile takowa jest) nieproszoną nauczycielkę, poławiają się równie dobrze na Powiśle, jak nad Chicago-River, to też bezwątpienia, że takt, łatwość i umiejętność bycia oraz osobiste wyrobienie każdej z członkiń jest kwestją pierwszej wagi.

Ale jest i coś głębszego pozatem, i owo coś znalazło wyraz w samej nazwie — siostra. Nie nauczycielka, nie mentorka: siostra starsza umiejętnością, choć może młodsza wiekiem siostra, która przychodzi do młodszej ze swemi zasobami groszowej wartości: — trochę sznura, bibuły i gwoździ, — i mówi:

— Wiem, że nie masz głowy do estetyk i ozdób, ty, która twardo harujesz na kawał powszedniego chleba, czarnego, jak sadze kominu, które ci zasypują w fabryce oczy. Wiem, że każdy ruch niekonieczny jest nienawistny twemu umordowanemu, zbitemu ciału. I mąż jest gbur i niedbalec,—wierzę. I któż nie wie, co to jest w jednej izbie oprac i wyżywić małe dzieci?... Ale widzisz: to, co przynoszę, przyniosłam właśnie w celu ulżenia twojej robocie, nie odwrotnie. Dlaczego masz robić dwadzieścia razy dziennie te kilka zbędnych kroków od ławy, gdzie zmywasz naczyńia, do gwoździa na przeciwległej ścianie, bo tam właśnie wisi ręcznik? I czemu cebrzyk z wodą stoi tak, że trzeba go potrać, wchodząc, i woda się rozlewa, a studnia jest daleko? Mam właśnie gwoździe i sznur. Ustawimy cebrzyk, zmywalnię i ławę w jednym kącie, blisko pieca, w którym gotujesz. Wbijemy gwoździe na ręczniki, ścierkę, szczotkę. Wyścielemy papierem półki; a żeby zasłonić ten brzydki zaciek na ścianie, zawiesimy wystrzygankę z bibułki. Może być zajac i żaba, albo muchomor i karzelki,

albo małe kacząta. Widzisz, siostrze? Na toś się rozchmurzyła, bo wiesz, że dzieci się ucieszą z kolorowych skraweczków — jedynej imitacji słońca, jaką im dać możemy. A twemu mężowi sprawimy także niespodziankę: wbijemy za łóżkiem dwa haki i będzie miał własne wieszadło na ubranie, o które tyle razy się klócił, że mu się szarga po kątach. A może chcesz wiedzieć, jak to się robi, żeby tanim kosztem urządzić sobie porządną podręczny kredens na ścianie z półek, zawieszony kawałkiem kwiecistego perkalu? Bierze się starą pakę, jakich pełno dostaniesz za parę groszy w twoim własnym warsztacie, przybija się...

I tak dalej, i dalej, i dalej. Nieznana siostra, posilkując się swemi ubogimi zasobami, wprowadza powoli i cierpliwie ład w środowisko, które objęła opieką. Wykazuje wartość, celowość i przeznaczenie przedmiotów oraz ich najoszczędniejsze, ze stanowiska fadygi i czasu, zastosowanie. Wykazuje, co — zapomocą groszowego wydatku—można w tych samych warunkach zyskać na wygodzie, ładzie i nawet—na estetyce. Właśnie ważne jest, żeby warunki były te same — żeby gospodynie naocznie się przekonały, wiele doda mieszkaniu—nawet najsmutniejszemu—umyte jasno okno, zasłonięty pokrywą kubel, nie wybuchający na izbę śmieciami, półka z wystrzyganką na talerze i kubki, jakiś kolorowy pas nad łóżkiem, zamieciona czysto podłoga, z kawałkiem starej ceraty pod zlewem. Jakkolwiek jest to dziwne, ale pierwszy ocenia te zmiany — mężczyzna, i to w sensie zawsze dodatnim. Gdyby wnosić z entuzjastycznie redagowanej literatury propagandowej, jaką spotkałam na temat powyższy w Ameryce, to wprowadzenie pewnej schludności i ład w niechlujność poprzednią skłania mężczyznę do chętniejszego zaoszczędzania grosza na ten lub ów sprzęt, czy dobytek; od oszczędności do książeczki bankowej, od książeczki do dobrobytu i t. d. Odliczając nawet pewien konieczny procent ekstazy agitatorskiej—moralny, psychiczny raczej, pierwiastek takiego „nawrócenia“ może i powinien być niewątpliwie znaczny i dodatni. Czyżby się nie dało więc wprowadzić i u nas takiej—naprawdę siostrzanej—armji, która z jednej strony rekrutowałaby swe osierdzie z wprawnych już w obcowanie różnorakiego poziomu społeczniczek, o dobrze uzgodnionym programie działania, a z drugiej—kooptowałaby chętne pomocnice ze wszystkich klas i warstw dla odpowiedniego wyrobienia w praktyce? Któraby podzieliła miasto na dzielnice najbardziej upośledzone, i małym nakładem kosztu, a wielkim nakładem serca zapoczątkowałaby w Polsce nieobliczonej doniosłości dzieło — dzieło podniesienia poziomu kulturalnego niższych warstw narodu do poziomu...

Nie wybiegajmy za daleko! Niechby było narazie tylko: — do poziomu tychże klas u innych narodów Europy tak, żeby wypadki oddzielania polskich emigrantów od innych na okrętach odeszły do przeszłości, a byłoby już świetnie! A więc, siostry nieznanego narazie godła, hallo!



ZOFJA STRYJEŃSKA

— Bujny gwar i młode uniesienie, co krew w żyłach na war przemienia — i muzyka, muzyka, różąca od ucha — i jeszcze: taniec oszalały, że się już tylko całkiem zapamiętać i bez tchu z drogi przed sobą wszystko zmiatać — i jeszcze: wytrysk kolorów zawodjackich, a niekłójących się przecie ze sobą i w zgodzie przyjacielskiej światu prawo swoje do radosnego nadmiaru wrzeszczących — na Boga świętego! Tośmy przecież—mdli Europejczycy—jeszcze chyba nie całkiem zniedołęzniali i do lamusa zdadni? Toż jeszcze nas, widać, stać na rozmach — ale cóż tu o rozmachu mówić — na wybuchowe rozpętanie sił! — na życie, jednym słowem!

* * *

Obrazy Zofji Stryjeńskiej...

Właściwie, gdy się myśli o tych pysznych transpozycjach na płótno, czy karton, treści wewnętrznej artystki, o tych spontanicznych, niejako „jednym tchem” wyrzucanych z siebie, wypowiedzeniach swej psychiki — jakimi są dzieła Stryjeńskiej — jakby trochę nie na miejscu wydaje się określenie: „obrazy”. Obraz, to przecież coś z natury swej nieruchomego, statycznego; to właśnie, wyrwany jakby z pośród ruchliwej, płynnej zmienności zjawisk, drobny wycinek, skrawek, — wyrwany i wcielony raz na zawsze w kształt niezmienny i stały. A to, co robi Stryjeńska, jest wszakżeż zaprzeczeniem poprostu wszystkiego, co trąci spokojem, bezruchem, inercją. Przeciwnie: jakby przerwały się jakieś tamy, wiążące dotąd buj-

ne źródło wewnętrzne.—skłębione, pierwotne elementy rwą wprost na widza, bezwzględne, aż zuchwałę w swej radosnej afirmacji.

Słowo „afirmacja” nie jest tu użyte przez przypadek tylko. Stosunek Stryjeńskiej do świata wydaje mi się bowiem istotnie zdecydowanie pozytywny.

Stryjeńska kocha życie, kocha je w całym jego falowaniu i drażniącej zmienności, a miłość jej nie jest cikliwa i sentymalna. Stryjeńska kocha się w prostych i mocnych jego formach, w potężnej jego tężyznie, w odwiecznej grze jego elementów. Jak dziecko, lub człowiek pierwotny, cieszy się niem i raduje, dochodząc do niego drogą bezpośredniego odczucia.

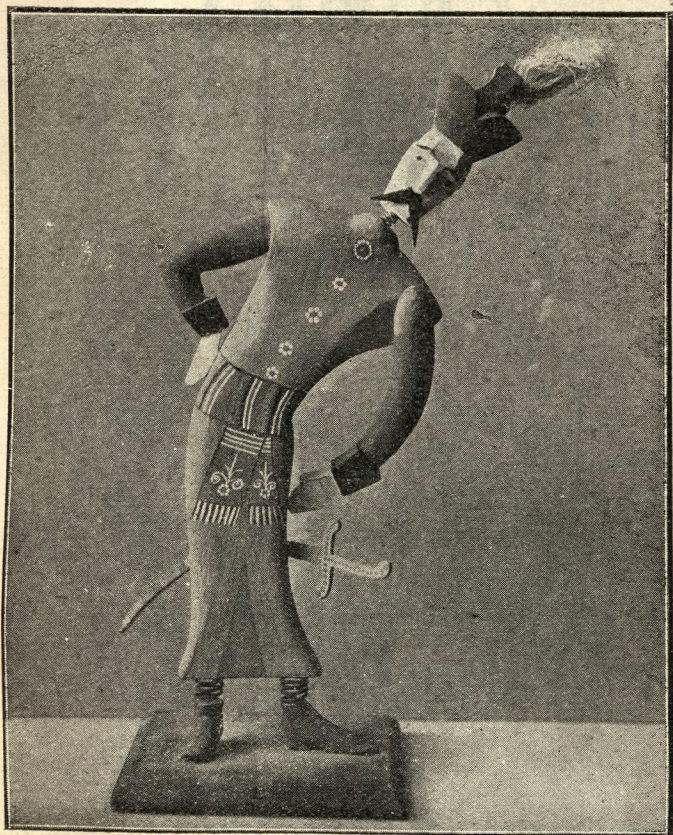
Ta radość życia bije ze wszystkich jej prac — od drobnych akwrel, przedstawiających jakieś tańczące chłopki, od ilustracji do „Monachomachji”, czy do opowiadania Tetmajera („Jak baba djabła wyonacyła”) począwszy, aż do wielkich obrazów i paneaux dekoracyjnych, zdobiących pawilon polski na wystawie sztuki dekoracyjnej w Paryżu. Zawrotny taniec, w którym wirują zamaszyste chłopki, pełna temperamentu, a bardzo bolesna dla biednego djabła nauczka, jaką go darzy „gaździna” (w ilustracjach do Tetmajera), korowód bogów słowiańskich, prostych i dobrodusznych, jak ludzie; i ludzi, mocnych i ognistych, jak bogowie — to wszystko iskrzy się, drga wewnętrznym śmiechem wesela, bujną uciechą, na przekór, na pohybel kwasom i dąsom znudzonej współczesności!

A radosne są te obrazki, nietyle może nawet przez swą treść tematyczną, ile przez sposób wyrażania, przez barwę i linię przede wszystkim. Ta linja i barwa są tak wybuchowe, tak, powiedziała-bym, „gwałtowne“, że wydają się już same przez się jakimś pierwotnym elementem: są, jak żywiol. W tych jarzących plamach kolorowych, w tym pędzie linji, całej w ostrych załamaniach — wyładowuje się niesłychany wprost nadmiar energii, nadmiar siły żywotnej.

Dynamiczność Stryjeńskiej, wspólna z jej bujną radością, stanowią właśnie o tem, co nazwałam przedtem — w najgłębszym tego słowa znaczeniu — jej pozytywnym stosunkiem do świata. Łączy się z niemi jeszcze trzeci czynnik, a jest nim polskość Stryjeńskiej. Polskość, nie w sensie jakiejś ciasnej, „narodowej“ wyłączności tematycznej. Jej dzieła są polskie przez jej rasowy polski temperament malarcki, przez specyficzność jej talentu, w którym — mimo absolutny brak podobieństwa tematu — dałoby się może wykazać pewne swoiste cechy, wiążące go chociażby z Kossakiem, czy Brandtem. I w tym sensie właśnie traktuję polskość Stryjeńskiej, jako dowód jej pozytywnego, jej twórczego nastawienia. Gdy bowiem obcość wielkim prądom, przenikającym sztukę światową, gdy wyłączne zamknięcie się w ciasnym krążku łatwej i powierzchownej odrębności „narodowej“ dowodzi zawsze pewnego braku kultury, egzotyizmu może, ale zawsze w połączeniu z pewnym



Z cyklu „Bożki słowiańskie“



Drewniana zabawka: Djabel Boruta

barbarzyństwem — to przeciwnie, wchłonięcie w siebie wszystkich elementów sztuki uniwersalnej, przetrawienie ich, i zbudowanie z nich nowych całości w skończonej swej formie rasowo odrębnych — jest wzbogaceniem ogólnego dorobku o te właśnie swoiste wartości. Jest rzeczą ciekawą, jak z ową, wspomnianą wyżej, dynamicznością artystki, jak z nadmiarem sił żywotnych, łączą się jej tendencje dekoratorskie. Zdałoby się, że jedno przeczy drugiemu. Sztuka dekoracyjna jest wszak z natury rzeczy podległa pewnej nieziennej prawidłowości, pewnym surowym prawom układu, zmuszającym częstokroć nawet do schematyzmu. Jakże się w podobnych ramach pomieścić może indywidualność tego rodzaju, co Stryjeńska? A jednak tak się dzieje. Jakby przychodził tu do głosu najgłębszy instynkt artystyczny malarki, ta reakcja sił dośrodkowych, która przeciwdziałałemu już rozprężeniu, i nieokiełznaniu temperamentu, która stwarza jakies zacieśnione łożysko dla nieobliczalnych nurtów treści emocjonalnej i sensualistycznej, wibrujących w duszy artystki, — i sprawia, że bezwład staje się zorganizowany, że powstaje — dzieło sztuki.

Wiele czynników stanowi o dekoracyjności Stryjeńskiej: uproszczenie linji, polichromiczne zestawienia barwne, prawidłowy układ obrazu. Nadewszystko, jednak, pewna swoista i oryginalna stylizacja form, polegająca na ich gruntownym uproszczeniu i geometryzacji.



Z cyklu „Bożki słowiańskie“

Niejeden brzuchaty szlachcic toczy się niemal prawidłową kulą; poczciwy kmiotek tak sobie właśnie przysiadł, że tworzy doskonały trójkąt, a zawadzająca baba, cała w furkotach spódnicy, o milę zalataje trochę przysadzistym stożkiem. I oto przesuwają się przed oczyma widza cała galerja pysznych, charakterystycznych typów, cała nieomal „szopka polska“: panowie - bracia szlachta i nieustępliwi gazdowie podhalańscy; pracownicy kmiecie i opasłe mnichy; podrygujący żydkowie i dorodne boginki słowiańskie — a każde z nich zostaje przestyliżowane w formie, będącej doskonałym odpowiednikiem plastycznym danego typu, a jednocześnie dekoracyjnie uproszczonej i syntetycznej. To właśnie różni wybitnie dekoracyjny rodzaj sztuki Stryjeńskiej od realistycznych malarzy i rysowników „charakterystycznych“: gdy oni wszelkie niuanse charakterystyczne umieli wydobywać jedynie zapomocą analitycznej szczegółowości, — Stryjeńska osiąga równe, a może lepsze rezultaty, idąc drogą syntezy. W ten sposób uzyskuje też pewną monumentalność, która jest przecież znamioną cechą stylu dekoracyjnego.

Również układ obrazu jest u Stryjeńskiej dekoracyjny. Tam nawet, gdzie nie ma wyraźnej prawidłowości układu, poszczególne partie obrazu podlegają utajonemu, i tem kunsztowniejszemu przez to, rytmowi linii i form, i plam barwnych, który najbardziej nawet pozornie rozwichrzonym kawałkom nada-

je zwartość i jednolitość. (Daje się to zauważyć przede wszystkim w jej litograficznych ilustracjach do książek). W wielkich obrazach i kartonach dekoracyjnych układ wyraźnie prawidłowy występuje oczywiście o wiele częściej, grupując masy kompozycyjne symetrycznie, lub dośrodkowo.

Jednym z nielicznych minusów Stryjeńskiej jest za mała może kultura kolorystyczna, uderzająca nie tyle nawet przy wydobywaniu poszczególnych walorów, ile przy zestawieniach barwnych. Brak ten znika w grafice Stryjeńskiej przy operowaniu kontrastami czarno-białymi, z których artystka wydobywa doskonale nieraz efekty.

* * *

W rozwoju sztuki polskiej ostatnich dziesiątków lat, a specjalnie w rozwoju naszej dekoracji, Stryjeńska stanowi niejako osobny rozdział. Przez nowe, odmienne potraktowanie linii i formy (wystarczy porównać ją, — jako z jej poprzednikami w dekoracji, — chociażby z Wyspiańskim, lub Mehofferem), przez swoje odczucie i przestyliżowanie pierwiastków ludowych — wprowadza naszą dekorację na nowe tory. Już dziś wpływ jej na polską twórczość zdobniczą jest ogromny i rośnie z dniem każdym. Stryjeńską zgodnie wymieniają, jako jedną z najsilniejszych, jeżeli nie najsilniejszą, indywidualność wśród malarzy polskich.

l. j.



FELICJA KRUSZEWSKA

DWA SREBRNE WIERSZE

Jagusi i Celi Gryzieniczównom.

STRACHY NA GÓRZE

*Księżyc zatopił pokój garcem, piekącym srebrem.
 Serce jest szpilką klującą pod twardem, gniotącym zębem.
 Podłoga gnie się pod światłem i skrzypi, jęcząc pocichu.
 Drzwi się kołyszą, kołyszą — drzwi, które dzielą od strychu.
 Srebro się toczy po dachu, srebro po ścianach się leje...
 Ja wiem, co wzdycha za drzwiami. Wiem wszystko, co tam się dzieje!
 Ktoś wsunął głowę przez dymnik i wypił całe powietrze;
 Łopoczą sznury bielizny na dusznym, palącym wietrze.
 Ktoś chodzi po belkach i sznurach i srebrem przesycza płótno,
 Pokrzywy w kącie na deskach pachną tak ostro i smutno.
 Zjeżyły umarłe włosy i strasznie, sucho szeleszczą.
 Krokwie, wiązania, deszczułki prężą się w męce i trzeszczą.
 Pszczoły srebrzyste i tnące nad łóżkiem klębią się rojem.
 Drzwi są zdradliwe, niepewne, a strych jest tuż za pokojem...
 Okno jest srebrem zamknięte, w srebrze firanka moknie.
 Lustro jest oknem prawdziwym... Ktoś stanął stanął w tem oknie!*

D E S Z C Z

*Deszcz o mokrzutkich stopach i srebrnawych włosach
 ma palce bardzo długie — od nieba do ziemi —
 brzęczy cicho na szybach nutkami szklanymi,
 zbiegając ciągle na dół w falistych ukosach.*

*Uderza w liści malin wysrebrzane spody,
 które wiatr mu usłużnie odwraca do góry
 i łączy srebrną ziemię i srebrzyste chmury,
 jak jasne, bardzo wiotkie, falujące schody*

*Zdusił w srebrzystych palcach całą skwarność lata
 i niebieskie południe zmienił w srebrną topiel.
 Zawiesił mi na oknie firankę swych kropel,
 zamknął mnie w mokrem srebrze, odgradził od świata.*



S. B O R O W S K A

KATARZYNA OD GĘSI

(Dokończenie)

Gdy w czasie przepisowych modłów wieczornych kładła ręce na klawiszach fisharmonji i porywała natchnieniem dusze dziecięce sióstr zakonnych,—wyglądała, jak święta, jak wielka Teresa. Zdawało się w mroku, że ręce jej fosforyzują, i że lada chwila uniesie się w powietrze, jak błogosławiona Małgorzata, ozdoba i chluba zakonu z przed lat dwustu kilkudziesięciu. Lecz nie zdarzył się cud taki z Katarzyną-Imeldą.

Natomiast zaczęła w siódmym roku swego życia klasztornego zapadać jakoś na zdrowiu, a trudno było określić jej chorobę. Po chwilach mistycznych uniesień w kaplicy, następował częstokroć stan zupełnego bezwładu fizycznego. Powieki opadały na oczy, ręce osuwały się wzdłuż sukni, głowa przechylała się wtył lub na piersi, całe ciało słaniało się i na próżno wołano na nią imieniem zakonnem Katarzyny-Imeldy, napróżno nakazywano jej „wrócić“ — nie wracała nieraz przez kilka godzin. Nie było to jednak zwykłe omdlenie, bo, ujęta pod ręce, unosiła się z krzesła i postępowała czasem parę kroków. Przyzywano wówczas siostrę-ekonomkę, obdarzoną przez naturę ogromnym wzrostem i siłą niekobiecą. Brała ona na ręce Katarzynę-Imeldę i zanosila do celi.

Czas jakiś rozważano, czy nie należałoby podać chorą lekarskiej obserwacji, lecz projekt upadł. Opierała się temu przedewszystkiem Katarzyna, a także i przełożona nie miała odwagi powierzać staraniom jakiegoś „świeckiego niedouka“ tej, której cierpienie było najoczystszą nostalgią za niebieską ojczyzną...

Po takich chwilach odlotu z ziemi,—a może tylko—z klasztoru,—powracała Katarzyna-Imelda jakby odmieniona, a choć wzmagała się jej gorliwość w pracy i modlitwie — usposobienie zatracalo dawną równość.

Aż oto pewnego jesiennego wieczoru, na rekreacji zakonnej, spełniając powierzona sobie dnia tego funkcję, Katarzyna-Imelda klasnęła w dłonie i wyskandowała czysto, z zachowaniem przepisowych pauz i spadków głosu:

— Moje siostry, przypominam waszym miłośnikom obecność Boska! mówię, czegom się nauczyła, co rzecze król Salomon: „Czarnam ci, ale wdzięczna, o córki jerozolimskie...“

Siostrzyczki zakonne popodnosiły głowy, zaskoczone nieco treścią cytaty. Niektóre zerknęły na przełożoną. Lecz sędziwe oblicze przeoryszy poważne było i spokojne. Zaczęły więc medytować nad

przytoczonym tekstem, rozmyślając, jak to dusza ludzka, choć czarna od grzechów, wdzięczną jest jeszcze oczom Boga, będąc, mimo wszystko, stworzoną na obraz i podobieństwo Jego i zachowując piękno pierwowzoru, nawet w ohydzie upadku.

Aliści przełożona przerwała medytację odwieczną formułą:

— Możemy dalej rozmawiać...

Katarzyna-Imelda jednak nie brała już udziału w ogólnej konwersacji. Siedziała z opuszczonymi oczami, z dłońmi zasuniętymi w szerokie rękawy zakonnego habitu. Siostry szeptały sobie, że „obcuje z Bogiem“ i nie śmiały jej przerywać,

Był to ostatni wieczór pobytu jej w klasztorze. Nazajutrz nie zjawila się w kaplicy, ani w refektarzu. Siostra, wysłana do jej celi, znalazła łóżko nietkniętem, na stoliku książkę, otwartą na pięknych wersektach. „Pieśni nad pieśniami“, lecz ani śladu świętobliwej panienki.

Nastał moment popłochu i konsternacji, lecz przeorysza—z przytomnością umysłu, godną stanowiska, jakie zajmowała,—nakazała zgromadzeniu zupełny spokój, modlitwę, a przedewszystkiem—milczenie.

Zniknięcie Katarzyny-Imeldy nosiło wszelkie cechy porwania przez szatana białej lilji z Chrystusowego wirydarza; lecz tajemnica wyjaśniła się jeszcze tego samego dnia, bo stary Kuba, ogrodnik i stróż w jednej osobie, który noce spędzał poza obrębem klasztoru od strony tak zwanego folwarku, w wartowni, gdzie mur się znacznie obniżał, wyjawil siostrze ekonomce,—jako osoba odpowiedzialna za całość żywego i martwego inwentarza folwarcznego,—że najwyraźniej, około godz. jedenastej w nocy, gdy księżyc jasno świecił, „jakaści dobrodzika laźła bez ten niższy mur...“ Nim się jednak staruszek wygrzebał z legowiska i wyszedł na dwór, nikogo już nie było...

W obawie, czy nie złodziej, przebrany dla niepoznaki w szaty zakonne, zakradł się do obejścia, przeliczył Kuba dziś wszystkie kury, gęsi, indyki, a także prosięta, lecz niczego nie brakło.

Siostra-ekonomka zbładła i odeszła bez słowa. Niebawem wszakże wezwano Kubę do księdza-kapelana. Ten bez wstępów ofuknął staruszką za opowiadanie bredni siostrze-ekonomce. Powiedział, że jeśli się komu „dobrodziki“ przywidują po nocach na murze, to powinien pościć, bo to odciąga humory od głowy i wielce jest skuteczne przeciw poządliwości ciała. Dodał także, że jeśli Kuba będzie takie rzeczy rozgłaszał lekkomyślnie na wieście, to plotkę pochwyca

żydzi, masoni i socjaliści, rozważują w swoich gazetach na szkodę Pana Jezusa, kościoła oraz klasztoru, tego klasztoru, co Kubę przecież karmi i odziewa.

Biedny Kuba, któremu z powodu jego lat 70-ciu zgórą nie przyczepiano już dzwonka, gdy wchodził w obręb klauzury, uczył się bardzo zgnębionym. Nie wiadomo, czy pościł, lecz pary chyba z ust nie puścił, bo ani żydzi, ani masoni, ani socjaliści nie rozpisywali się nigdy o ucieczce Katarzyny-Imeldy.

Zgromadzenie zakonne było skonsternowane fugą tej, która już za życia chadzała in odore sanctitatis, a nawet matka przełożona nie mogła zrozumieć, jaki to powiew ze świata zmaćcił tak nagle jezioro rozmyślań Katarzyny-Imeldy.

Po sześciu latach, w piękny wieczór wiosenny, gdy wszystkie bzy rozkwitały, u zakratowanych okien, stanęła zakonnica w habicie zakonnym i woalu na werandzie klasztoru, przesadziwszy znowu niski mur wśród zabudowań folwarcznych. Kuba już nie żył, a następca jego, którego jeszcze bez dzwonka w obręb klauzury nie wpuszczano, spał o 9-tej wieczorem mocno w wartowni, znużony całodzienną pracą w ogrodzie i na folwarku. Tym razem nikt nie dojrzał na murze czarnej, lekkomyślnej jaskółki.

Weszła na stopnie werandy i stanęła, ujrawszy młodą nowicjuszkę, odmawiającą różaniec. Siostrzyczka podniosła oczy i spostrzegła nieznaną, czarną postać. Mniemając, że się jej ukazuje duch zmarłej jakiejś zakonnicy, wyjąkała przerażona: „czego dusza potrzebuje?” i zemdląca.

Katarzyna, nieczuła na tę wymyślną owację, weszła do gmachu, napotkała przełożoną, zdążającą do kaplicy, uklękła przed nią i zawołała: „łaskil!...”

* * *

Chrystus nie zamknął przed niewierną oblubienicą drzwi swego domostwa. Pozostała w klasztorze, skazana na ciężką pokutę. Nie wolno jej było nosić habitu ani woalu, nie wolno było odzywać się do kogokolwiek. Jednej tylko przełożonej przysługiwało prawo rozmawiania z jawnogrzesznicą. Pod grozą wyraźnej niełaski boskiej wzbronionemi były także wszelkie o niej rozmowy. Tak miała przeżyć do końca dni swoich, pełniąc roboty najniższe, sypiając ze służbą domową, jak folwarczna, najemna dziewczyna, nie biorąc nigdy książki do ręki, nie dotykając klawiszy fisharmonji.

Prześliczne jej ręce—wymyślne i najwytworniejsze instrumenty muzyczne—zgrubiały od obierania kartofli, obrządzania drobiu i nierogacizny. Cała jej osobowość, wdeptana w ziemię — przestała istnieć.

* * *

Sądzonem było, że przy Katarzynie-Imeldzie nie zazna zgromadzenie spokoju. Gdy zmarła po krótkiej chorobie, uderzył dwukrotnie dzwon klasztorny, chociaż była to godzina 1-sza w nocy, t. j. pora, gdy na pacierze nigdy nie dzwoniono, a wszystkie zakonnice, stosownie do obowiązujących przepisów — spoczywały w uśpieniu.

Nie wiadomo, czy buntownicza dusza, ulatując z ziemi, zawadziła przypadkiem o dzwonnice, — czy, zabłąkana w życiu, nie mogła i po śmierci trafić na szlaki wiekuistych przeznaczeń i wzywała pomocy siostr zakonnych — faktem jest, że uderzenie dzwonu usłyszało całe zgromadzenie, a także kilka pensjonarek, w tej liczbie Dora Śliwicka, niewiedząca nic zresztą o chorobie Katarzyny-Imeldy.

Katarzyna bardzo wypiękniała po śmierci. Woal i habit zakonne, w które ubrano ją do trumny na znak łaski i darowania win, wydobyły na jaw piękność rysów, zatartą doszczętnie za życia, w gorzkiej poniewierce dnia powszedniego.

Dora bała się właściwie umarłych, ale przez cały czas trwania żałobnego nabożeństwa poglądała raz po raz na wynędzniałą, długą postać na katafalku. Głębokie współczucie wzbudzały w niej stopy Katarzyny-Imeldy, zwyczajem zakonu obnażone po śmierci, na znak pokory i dobrowolnego ubóstwa. Dora spozierała na biedne, grzeszne, bose nogi, które za życia tak zuchwale, namiętnie i bezradnie biegały i bożemi drogami, i manowcami świeckich omamień, jakby szukając jakichś przysypanych pyłem śladów, bez których własnej swojej drogi znaleźć nie mogły.

Dora był już w 7-iej klasie. Hodowała wciąż swego niemego djabła ku rozpacz siostry mistrzyni. W czasie wakacyj czytała już „Quo Vadis“ dla dorosłych i pamiętała, w najmniej odpowiednich do tego momentach, że Winicjusz powiedział do Ligji: „Ty będziesz duszą mojej duszy!” Nie mogła przeto pogodzić się z myślą, że oto za chwilę nabożeństwo się skończy, trumnę zamkną i wyniosą i nic więcej dzieć się nie będzie z Katarzyną od gęsi.

—Coś się jeszcze stać musi,—mówiła sobie.—Musi. Ktoś zadzwoni do furty, ktoś przyniesie naręcz róż herbacianych i mimozy dla przykrycia bosych stóp siostry Katarzyny-Imeldy.

Ale że nikt nie przychodził, Dora spojrziała z niemym pytaniem na twarz nieżyjącej. Sypkie mrowie przerażenia przebiegło po jej skórze: W migotliwym świetle gromnic przywidziało się Dorze, że zmarła oddycha i uśmiecha się gorzko. Odwróciła więc szybko oczy od straszliwego widoku i, osuwając się na kolana, zaczęła się modlić gorąco za dusze cierpiące w czysćcu.



W. MIŁASZEWSKA

12

KACZĘTA

(powieść)

Aż się w język ugryzłam, żeby Tomkowi odrazu w oczy nie rąbnąć, że wiem, i co ja o tem wszystkim myślę.

Jak tylko Tomasz wyszedł, zastukałam do Teofila. Zdziwiony był i zły, bom mu drzemkę poobiednią przerwała, ale nie widziałam innej rady, tylko Teofilowi odrazu oczy otworzyć. Ojciec przecież.

Mówię mu, co słyszałam od Tomka, a Teofil na to krótko:

— Wiem.

Wtedy wytrzymać nie mogłam. Opowiedziałam mu wszystko, co Tomek wyprawia: że po nocach w domu nie bywa, że się z podejrzaną dziewczyną zadaje; opowiedziałam o szarych pończochach, o perfumach, o tem „tykaniu“, co na własne uszy usłyszałam wtedy przed bramą. Wszystko.

Teofil zbył mię krótko:

— Co do mieszkania, to już między nami od dawna ułożone. Tomkowi z pozycji i z interesów wypada, aby mieszkał osobno. A co do innych spraw, które Justysia poruszyła, to już Tomasz sprawa, żeby się z tego wykaraskał. Zresztą, ja z nim jeszcze pomówię.

Tyle wskórałam. Do wieczora chodziłam, jak struta, i wyczekiwałam Tomka. Chciałam się z nim rozmówić szczerze, serdecznie, że przecież i tego mieszkania szkoda, co Teofil donajął, i że na kawalerskiej gospodarce nikt mu zanadto nie dogodzi, a Tomek przyzwyczajony, żeby skakać koło niego. Może jakiego ubrania nie włożyć tydzień, albo na obiad spóźni się godzinę — głupstwo. Ale niech raz ubranie będzie nie wyczyszczone, albo się z obiadem Walerka pięć minut spóźni — zaraz awantura, narzeka nie, że w tym domu nikt czasu szanować nie potrafi.

Do wieczora czekałam na Tomka, ale nie przyszedł wcale. I teraz jeszcze go niema, choć już chyba po północy. Pewnie znowu zasiedział się ze swoją biuralistką. Skaranie Boskie, jak kobieta na mężczyznę parol zagniel! Jestem pewna, że ona sobie parol oddawna zagięła na Tomka i tylko czeka stosownej pory, żeby swoje przeprowadzić

30 sierpnia.

Mój Boże! dawno nie miałam tyle przykrości, co wczoraj. Przedewszystkiem — przyjechała Adelcia ze wsi i odrazu wsiadła na mnie, że się kwiaty w salonie pomarnowały.

— Tak prosiłam, żeby ciocia dopilnowała chociaż tego fikusa! Co wyście z nim wyrabiali, że tak zmarniał?

Rzeczywiście fikus zmarniał, ale to napewno nie przez brak dozoru, tylko przez ten remont w mieszkaniu. Jeszcze dziś w salonie czuć terpentynę, jakieś kleje, farby, Bóg wie, co. Człowiekby zmarniał w takim powietrzu, cóż dopiero kwiat.

To był początek dnia, bo Adelka przyjechała rano, potem się Teofil ze Stasiem przy obiedzie porzarli o politykę i to tak, że myślałam — talerze zacząć fruwać. Adelcia ich godziła, a Marek męki cierpiał, widziałam. Czasem to już tę politykę ja sama klnę od ostatnich słów, bo tylko w porządnym domu męt wprowadza.

Po obiedzie porozchodzili się wszyscy skwaszeni, a ja siadłam sobie przy oknie i myślałam: wypoczne trochę.

Aż tu przychodzi Tomek. Na obiad pięć kwadransy się spóźnił, a od wczoraj wcale go nie widziałam. Wchodzi i odrazu na mnie:

— Miła jest ciocia! Niema co! Już ja cioci tego nie zapomnę!

Odrazu mię w sercu zakłuło. Myślałam sobie wczoraj cały wieczór, jak to ja z Tomkiem porozmawiam, jak mu, jeśli nie do rozsądku, to do serca przemówię... Ułożyłam sobie wszystko i tylko modliłam się, żeby Pan Bóg wysłuchał mojej prośby i Tomka opamiętał. I teraz czekałam, aż Tomasz wróci, żeby się z nim rozmówić serdecznie, a tu taki początek!

— Czego mi nie zapomnisz, Tomeczku? — pytam.

— A tych plotek, co ciocia narobiła. Czemu się ciocia w nieswoje sprawy wtrąca, prosił kto ciocię?

Zmiarkowałam odrazu, że Teofil z Tomkiem musiał mieć rozmowę w kantorze.

— Nie gniewaj się na mnie, Tomeczku — powiadam — posłuchaj mnie... Może i źle zrobiłam, że Teofilowi wczoraj.. Ale ja już sama nie wiem, jak postępować, żebyś ty się opamiętał, Tomku.

Dopiero się Tomasz zachnął:

— Co opamiętał? Z czego opamiętał? Czy ciocia źle ma w głowie? (Dośłownie tak powiedział!) Niech się ciocia raz odczepi od nieswoich spraw, ja bardzo ciocię o to proszę... Ciocia się na tem wszystkim akurat tak zna jak... jak kura na pieprzu...

Biegał po pokoju, jak fryga i raz po raz dorzucał:

— Przez cioci gadanie ja mam teraz nieprzyjemności, bo musiałem ojcu tłumaczyć, przekonywać go... Skąd ciocia wzięła tyle plotek.. Z palca ciocia wyszała?

— Tomeczku, nie rzucaj się tak .. Ja widziałam...
Ja słyszałam na własne uszy.

— O! właśnie! słyszała ciocia, że dzwonią, tylko
nie wiadomo, w którym kościele!

Mój Boże... rozpląkałam się, jak chyba nigdy
w życiu. Już to ludzie bywają naogół niesprawiedliwi,
ale nic tak nie boli, jak niesprawiedliwość najbliż-
szych, ukochanych istot. Tomek powinien był przecież
wiedzieć, że to z dobrego serca troskam się o niego,
a nie przez nieżyczliwość... A on tak odrazu napadł
na mnie i tyle niemiłych rzeczy mi nagadał...

Dopiero, jak Tomek zobaczył, że płaczę, serce
w nim zmiękło.

— Z ciocią — mówi — to do ładu dojść nie
można. Sama ciocia nawarzyła tego piwa, a teraz —
w płacz. Et, z babami, to zawsze jedno...

Mruczał jeszcze, ale się już uspokajał. Widzia-
łam, że gniew na mnie przeminał, więc zebrałam
się na odwagę, otarłam oczy i mówię:

— Mój Tomeczku... mój złoty... Zrób ty jedno
dla swojej starej ciotki... Przynajmniej, póki ja żyję...
i Teofil... nie żeń się z tą...

— Z kim?

— Z tą... z tą panną, co mieszka na Zórawiej.
Mój Tomku, zobaczysz, że nie pożałujesz, przekonasz
się kiedyś sam, kto ci dobrze życzył...

Tomek patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami,
a w tych oczach wszystkie uczucia odbijały się,
jak na wodzie. Widziałam dobrze. Najpierw mignęło
zdziwienie, potem jakby przestraszenie, potem znowu
jakby ogromne zdziwienie, a wreszcie niepomierna
wesołość...

Chwilę mu się te oczy śmiały same, aż dopiero
wybuchnął wesoło:

— Ha ha! Słowo daje, pyszna ciocia! A jak cio-
cia wszystko wypatrzyła, wykombinowała! Ha ha! Bo
się pod ziemię zapadnę ze śmiechu! To ciocia tak
ze strachu, że Tomeczek głupstwo palnie, poleciała
do ojca! Pyszne, słowo daje!

Pocałował mię w jedną rękę, w drugą i w oba
policzki.

— Paradna jest ciocia, słowo daje, paradna...
No no, niech się ciocia nie boi! Ja nie mam pięciu
latek i krótkiej sukienki... A... a... tamto, tamto, co
ciocia wysłedziła, to jest głupstewko... Ha ha! strach
ciocię obleciał, że ja się z demimondką ożenię i dys-
honor na familję sprowadzę... No no, niema głupich!
Jeszcze Tomeczek główkę na karku ma, jak ojciec
powiada...

Niby się ta nasza rozmowa zakończyła serdecz-
nie, bo i Tomek mię uściskał i tamte moje obawy
zniknęły — a przecież na sercu mi ciężko, bodaj, czy
nie ciężej, niż przedtem.

Całą historję z tą panną to wcale nie ja wysłedziłam;
mogłabym przy skonaniu przysiąc, że nie ja. Wcale
nawet zamiaru nie miałam dowiadywać się, kto to
taki, ani gdzie mieszka. Ot, przypadek zdarzył, że mi
te szczegóły same w ręce wpadły...

Nawet myśli tem zaprzatać nie chciałam i nie
zapisałam w dzienniczku. Myślałam sobie: — Może
ja się mylę, a może to wszystko samo się rozpełźnie;
po co gwałt robić i niepokoić się.

Ta znajoma Tomka nazywa się Janina Łuczak-
ówna i ona naprawdę pracowała w biurze, jako ma-
szynistka, dopóki nie poznała się z jednym takim,
który ją na złe drogi wprowadził. Tomek ją dopiero
przed rokiem poznał, właśnie u swego kolegi, na któ-
rego na utrzymaniu była ta Janinka...

Że mi takie historje przez usta przechodzą...

Wszystkiego tego dowiedziałam się przypadkiem,
a to było tak. Chodziłam na Zórawią oddawać kołnie-
rzyki Adelci do rurkowania, bo to musi być drobniut-
ko i równo, w domu się zrobić nie da. Nie pamiętam
już, kto mi doradził tę Łuczakową, że tanio i starannie
wykończą robotę.

Byłam u niej raz i drugi, tośmy się nieco zaprzy-
jaźniły i zgadało się o tem i owem.

Ta Łuczakowa miała bardzo ciężkie życie, co
się nawet na jej wyglądzie odbiło, bo choć pewnie
o kilka lat młodsza odemnie, siwa zupełnie, a oczy
ma wybladłe w zacerwienionych powiekach, pewnie
od łez, co je przez tę córuchnę wylała...

Ta Łuczakowa bardzo porządna kobieta, a nawet
pewnie kiedyś lepiej się miała, bo to odrazu widać,
choćby po meblach. Niedużo tam tego, pewnie się
wyprzedala po trochu; ale widziałam fotelik, zielo-
nym pluszem obity, i kilka obrazków w ładnych ram-
kach. Opowiadała mi, że mąż ją wcześniej odumarł
i została sama z małą córeczką, z tą Janinką właśnie.

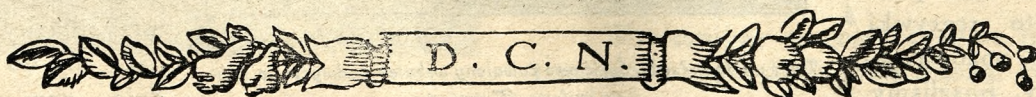
Musiała się kobieta dobrze naharować, żeby
córcie takie wykształcenie dać... Bo ta Janinka i sześć
klas skończyła, i kursa na maszynie, że jej zaraz po-
sady dali w biurze, nawet nieźle płatną.

— Myślałam — powiada Łuczakowa — że choć
na stare lata odpocznę sobie, pociechy z córki zaznam
a tu nieszczęście takie...

Jak to mówiła do mnie, to jej łzy puściły się
z oczu i płynęły wolniutko głębokimi bruzdami po
policzkach. Wyżłobiły sobie drogę oddawna, bo Ja-
ninka od dwóch lat w domu nie mieszkała i takie
życie prowadzi, że zgroza bierze...

Musiała to być nawet niezła dziewczyna, tylko
ot, zawrócił jej głowę jakiś nicdobrego, na złą drogę,
namówił i tyle...

— Nie mogła to jej pani lepiej pilnować? — po-
wiadam do Łuczakowej.





W czasie powodzi mieszkańcy wioski używali pontonów, aby się przedostać z jednej chaty do drugiej

POWÓDŹ

Stryj — Morszynie 30.VIII — 4.IX

Jak zwykle ślepy traf zrobił mnie świadkiem okropnej, żywiołowej katastrofy, która ostatnio nawiedziła Małopolskę wschodnią. Pogoda była cudowna, niebo bez najmniejszego nawet obłoczka, upał tylko przygnębiający. Grono osób z zakładu zdrojowego w Morszynie dawno wybierało się zwiedzić pobliski, o piętnaście zaledwie kilometrów odległy, Stryj. Jedni tęsknili do kina, inni — do miłych, jak każdy owoc zakazany, lodów; jeden potrzebował proszku do zębów, inna znów — pudru. Miało jechać sporo osób; wkońcu pojechało cztery: — trzy panie i jeden tylko, zato bardzo miły i wesoły, pan — dla opieki. Po załatwieniu drobnych sprawunków, udaliśmy się do cukierni na owe lody; kino i obejrzenie gmachów pozostawiliśmy na potem.

Słońce wciąż świeciło radośnie. Kiedyśmy wychodzili z kawiarni, mżył mały deszczyk; szkoda było pantofelków, przeto rozrywki „wielkowiejskie” pozostawiając na raz inny, poszliśmy

sobie na dworzec. Deszcz się wciąż wzmaczał. Po paru godzinach oczekiwania wsiadamy, już pod ulewym deszczem, do pociągu.

Oczekujemy godzinę, dwie, — pociąg nie rusza, wchodzi na koniec konduktor i oświadcza krótko, że pociąg nie pójdzie, gdyż ruch wszelki na kolejach wstrzymany. Trzeba pomyśleć o noclegu, — wychodzimy na plac... Nic podobnego w życiu nie widziałam: Jedna zwarta ściana wody, — wszystkie upu-

sty niebieskie się otwarły, nowy potop biblijny zalał wszystko dokoła. Idziemy po wodzie, na stopę blisko głębokiej; hotele przepełnione. Szoferzy aut, którym proponujemy odwiezienie nas do Morszyń, odpowiadają pogardliwie, że im już po 400 złotych za mniejsze dystanse proponowano (zwykła opłata do Morszyń 18 złotych), i że nie myślą ryzykować życiem i maszyną. Wkońcu bosonogi i mało przyodziany goniec, nie mający nic do stracenia, znajduje nam jeden numer

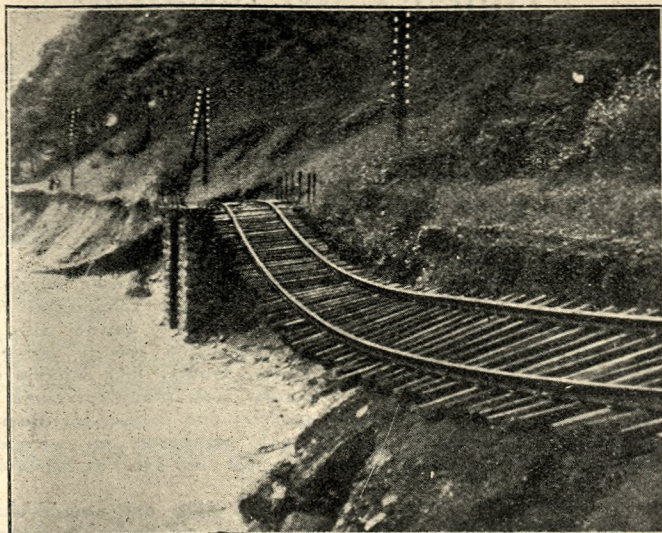


Dom w Borysławiu, częściowo zawałony wskutek podmycia w czasie wylewu Tyśmienicy

w hotelu na drugim końcu miasta. Całe szczęście, że Stryj jest wprawdzie stolicą Rusi, lecz nie ma rozmiarów innych stolic europejskich, możemy więc brnąć w głębokiej wodzie i, polewani nie konewkami już, lecz beczkami wody, dobrnąć do tej cichej przystani i usiąść na krzesłach i kanapkach.

Nie będę już więcej mówiła o naszych, mniej czytelniczki interesujących, losach; postaram się dalej opowiedzieć tylko to, co w ciągu dalszych tygodni widziałam. Ulewa trwała dwie doby, w tem tak zwane „oberwanie chmury”—dobę przeszło. Górskie potoki tak wezbrały, że pozalewały doliny całe. Opór, zwykle tak płytki, że kura go wbród przejść może, zalał całe śliczne miasteczko Skole i całą dolinę do Hrebenuwa, Tucholi i wyżej. Mały strumień około Morszyzna zniósł wszystkie mniejsze mosty i wygiął tak dziwnie ogromny most na szosie, że most ten przybrał kształt lejka, oddzielonego ogromnymi wyrwami od reszty drogi. Co nie przeszkodziło, że w dwa dni potem ładowne wozy i auta nawet, rozmaitym siódmym sposobem, zapomocą desek i rąk ludzkich, przez ten most przeprawiać się potrafiły.

Stryj-rzeka tak zalała Stryj-miasto, że tylko dachy domów na przedmieściach wystawały ponad wodą: w śródmieściu ulice płynęły głębszym potokiem, niż sama rzeka w czasie normalnym. Oba mosty na szosie—stary i nowy—zupełnie zniesione; most kolejowy zagrożony. Mętna, złowroga, bura woda z łoskotem przewala się przez wał ochronny i przez szosę, niosąc belki i deski z rozmytych sztabli sąsiednich tartaków. Dachy chat i sprzęty domowe płyną gęsto, pomiędzy nimi trupy zwierząt, najczęściej biednych zajęcy,—mieszkańców kotlinek i nadrzecznych. Widziano żywe jelenie, ba, wilki nawet; żywą jeszcze sarenkę wyłowili stryjscy policjanci. Po dwóch dniach ulewa się zmniejsza i równie prędko, jak przyszła, powódź opada; w ciągu jednej nocy poziom rze-



Tor kolejowy na linii Lwów-Bukareszt, podmyty przez wodę

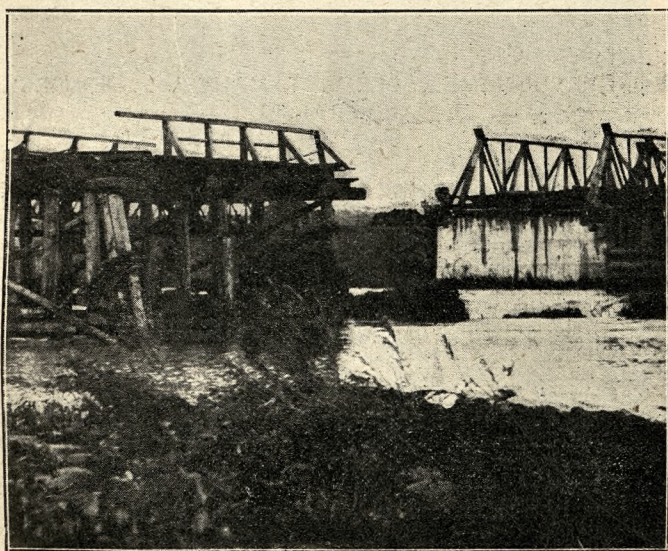
ki zmniejsza się o dwa metry prawie. O przywróceniu ruchu pociągów mowy niema: między Bolechowem i Doliną tor rozmyty doszczętnie na przestrzeni przeszło 300 metrów, mosty podmyte i grożą runięciem. Wezwano saperów z Przemyśla, gdyż zwykle siły rady sobie dać nie mogą.

Nakoniec, po pomyślnej próbie przejścia mostu przez lokomotywę, wracamy żółwim iście krokiem do gościnnego pensjonatu, witani entuzjastycznie przez wszystkich kuracjuszy in gremio. Zacni ludziska, bodaj czy nie więcej się o nas martwili przez te trzy dni rozłąki, niż my sami. Na wspaniałej szosie morszyńskiej leżą gęsto pozostawione przez powódź trupy szczerów i gadów; mostki poznoszone; we wsi ogrody warzywne i kartofliska gęsto zamulone,—widać, że wszędzie szorowała woda, przyginając do ziemi co drobniejsze krzaki i byliny. Większych szkód w Zakładzie niema: na tem, że przez dni parę woda ze źródła Ś-go Bonifacego była nieco mniej gorzka, kuracjusze smakowo na czysto zyskali. W okolicy Stryja jednak spustoszenia są straszne: pola i ogrody zniszczone doszczętnie. Owies jeszcze w snopach woda zniosła gdzieś wdół; bydła, nierogacizny, drobiu mnóstwo; konie nawet, popętane na pastwiskach, potonęły.

Kiedy w dni kilka potem jedziemy w stronę Srom, w najżyźniejszym zakątku około Mikołajewa, widzimy na prawo i na lewo, jak oko sięga, jedno morze wody; tylko chaty, a właściwie ich dachy, górują nad nią. To Dniestr, wezbrany i zasilany przez górskie potoki, tak rozlał. Widok wspaniały,—lecz ból serce ściska na myśl o bezmiarze nędzy ludzkiej, o głodzie, grożącym tym, i w czasie zwykłym niezbyt bogatym, okolicom; i strach ogarnia na myśl samą, jaka tam będzie zima.

Wyciągnijmy wszyscy zgodnie rękę pomocy ku tym, dotkniętym żywiołową klęską, braciom naszym.

Pani Elżbieta.



Most na Stryju zniesiony przez powódź.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

KRAJ KOBIET

„Neues Wiener Journal“ donosi, że w Azerbejdżanie, północno-zachodniej prowincji Persji, pewien uczony austriacki dokonał ciekawego odkrycia etnologicznego.

Kraik ten jest, podobno, zamieszkały przez pewien wymierający starożytny szczerp awarski, wśród którego zamierzchnie tradycje matriarchatu zachowały się jeszcze w swej dawnej sile.

Głównym opiekunem i żywicielem rodziny jest tu kobieta, która spełnia nie tylko wszystkie domowe roboty, lecz zajmuje się również przemysłem domowym i wyroby swej pracy sprzedaje na targu. Dzieci są jej wyłączną własnością; ona jedynie kieruje nimi, uczy je, żeni i wydaje zamąż; ona przekazuje im swoje nazwisko, a główną jej spadkobierczynią jest nie syn, a najstarsza córka.

Awarowie są już dziś na wymarciu; żyją oni pośród skał, gdzie zajmują 150 chat. Szczerp ten szczyli się jednak pięknymi tradycjami historycznymi i w zamierzchłych czasach panował, podobno, nad całym obszarem Dunaju.

W połowie 9-go wieku awarowie, pędzący życie koczownicze, wywędrowali aż za Kaukaz, gdzie znaleźli sobie nową ojczyznę.

R. C. H.

FACHOWE DRUCHNY

W Paryżu oddawna znanym metier jest zawód świadka ślubnego. Zdarza się czasem, że państwo młodzi nie mają znajomych w mieście, lub też dla jakichś powodów nie życzą sobie brać na świadków ślubu kogoś spośród przyjaciół. Wtedy pod każdym merostwem nie trudno jest znaleźć przywoicie ubranego jegomościa, który, za skromnym wynagrodzeniem, z godnością i taktem odegra żadaną rolę.

W Londynie, gdzie komfort i wygoda są jeszcze większe, niż w Paryżu, pomyślano o jeszcze jednym udogodnieniu.

Mianowicie, niedawno w mieście tem, na Finchley Road, otwarto biuro wynajmu druchen ślubnych.

Prospekt przedsiębiorstwa, rozesłany niedawno po całym Londynie, zapowiada, że biuro jest w stanie dostarczyć na każde żądanie kilku lub kilkunastu młodych, przywoitych i dobrze ubranych panien, które poprowadzą oblubienicę do ołtarza. Koszt pozostaje w zależności od liczby druchen i od ich stroju. W Anglii jest zwyczaj, że pannę młodą prowadzą do ślubu siostry jej lub przyjaciółki, wszystkie ubrane jednakowo. Im jest ich więcej, a im wspanialej są ubrane, tem większy splendor spada na państwa młodych.

God oblubienicy nie posiadają wielu znajomości, a przy tem radzi się zaimponować gawiedzi, gromadzącej się zawsze przed kościołem, gdzie odbywa się czyjś ślub, wtedy udają się do specjalnego biura o pomoc przy utworzeniu godnego orszaku.

Snobów w Anglii nie brak. Biuro ma zapewnione powodzenie.

R. C. H.

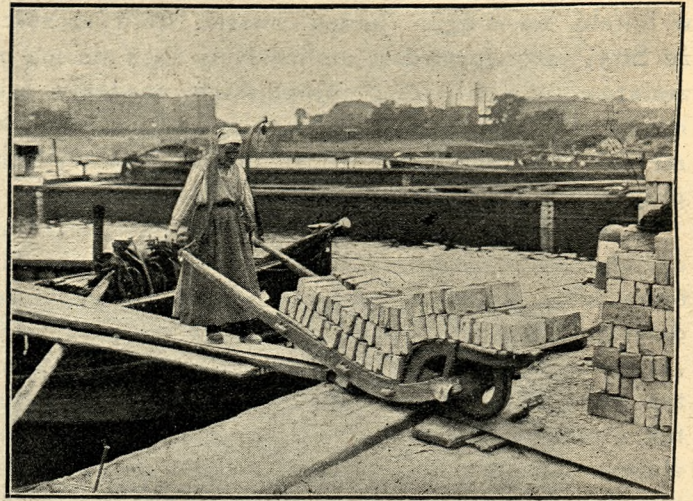
SILA FIZYCZNA KOBIET

Profesor chemji fizjologicznej na uniwersytecie w Glasgow, p. Cathart, w odczycie, wygłoszonym w londyńskiej Royal Institution of Great Britain, podał ciekawe szczegóły o stosunkowej sile fizycznej kobiet, pracujących w fabrykach, oraz studentek kolegiów i uniwersytetów.

Badania, przeprowadzone przez Medical Research Council, celem określenia ciężaru, jaki przeciętna kobieta dźwigać może bez szkody dla swego zdrowia, stwierdziły, że najcięższą pracę wykonywują robotnice, zajęte w fabrykach chemicznych oraz cegielniach. Zdumiewają one zarówno swoją siłą i wytrzymałością fizyczną, jak zręcznością ruchów przy pracy. Nie należą do rzadkości kobiety, zagarniające łopatą dziennie 20-25 ton surowca na wysokość półtrzecia stopy.

W cegielniach dziewczęta przenoszą przeciętnie po 100 funtów każda na odległość 70-ciu mtr., zaś robotnice, przewożące cegły na taczkach, ładują naraz 4-6 i pół centnarów.

Prof. Cathart jest zdania, że dziewczęta osiągną maximum swej siły i sprawności w 18-tym roku życia, niepracujące zaś fizycznie wykazują znacznie słabszy rozwój siły mięśniowej i drobniejszą budowę.



Ładowanie cegły w porcie berlińskim

Dziewczęta, studjujące w angielskich kolegiach, gdzie wielki nacisk kładziony jest na ćwiczenia sportowe, wykazują wyższy wzrost, większą wagę ciała i siłę, aniżeli kobiety, niepracujące fizycznie, lub też robotnice np. fabryk włókienniczych, wytrzymują jednak porównanie pod względem siły z pracownicami, zatrudnionymi w fabrykach chemicznych i cegielniach.

R. C. H.

PIERWSZA KOBIETA - STANGRET

Sto lat mija, odkąd pierwsza kobieta zajęła się powożeniem końmi, nie dla przyjemności własnej, lecz dla zarobku. Była to panna Foucaud, córka pewnego zrujnowanego przemysłowca, która, po stracie wszystkich swoich bliższych, przybyła do Paryża, aby w nim osiąść na stałe. Panna była młoda, zdrowa, energiczna; przedstawiono ją Dumasowi-ojcu, który wystarał się dla niej o kilka lekcji. Jednak odpowiedzialny i poważny zawód nauczycielski nie odpowiadał burzliwemu temperamentowi młodej osoby. Panna Foucaud była z kolei aktorką, tancerką, — gdy ją zawiodło powodzenie na deskach scenicznych, przypomniała sobie, że mieszcząc na wsi, umiała świetnie powozić końmi. Zgodziła się tedy na stanowisko zarządzającej stajnią do pewnej hrabiny, znanej w świecie paryskim.

Obowiązki jej, poza dozorowaniem koni i chłopców stajennych, polegały jeszcze na powożeniu luksusową wiktoria, w której pani hrabina odbywała codzienną przejażdżkę po lasku Bulońskim. Znakomicie utrzymane konie, lśniąca uprzęż i wygalonowana kobieta na koźle — zwracały wówczas powszechną uwagę na ulicach Paryża. Panna Foucaud, jako kobieta-stangret była jedną z najbardziej popularnych postaci w stolicy nadsekwaniańskiej.

R. C. H.

GEORGES DUHAMEL, CLÉMENT VAUTEL I... SOWIECKIE „GENERALISZE“

Georges Duhamel we wspomnieniach swoich z niedawnej podróży do Rosji Sowieckiej pisze między innymi:

— Będąc pewnego wieczora w „Kamernym Teatrze“, zauważyłem pewną kobietę, ubraną po żołniersku. Powiedziano mi, że jest ona — ani mniej, ani więcej — tylko generałem korpusu armji czynnej. Pani ta miała piękną, poważną i inteligentną twarz. Z przyjemnością wyobraziłem sobie różne okoliczności jej kariery i, aby jej się lepiej przyjrzeć, weziasie przedstawienia kilkakrotnie zwracałem oczy w jej stronę. „Generalsza“ śmiała się, jak dziecko.

Clément Vautel w „Le Journal“ zaopatruje powyżej przytoczone wrażenia następującym komentarzem:

„Pan Duhamel, dla którego rosyjski komunizm jest, oczywiście, sympatyczny, zauważył, że czerwona generalsza, o „inteligentnej i poważnej twarzy“, śmiała się, jak dziecko... Wątpię, czy p. Duhamel byłby kiedy skłonny zauważyć u zwykłego burżuazyjnego generała twarz „poważną i inteligentną“.

Co do mnie, to sądzę, że kobieta, wlokąca za sobą szablę, wydałaby mi się zawsze cokolwiek komiczną. Komiczną, a jednak niepokojącą.

Wyobraziwszy sobie okoliczności jej kariery w formie raczej operetkowej („M-elle Nitouche“, „Córka Regimentu“), powiedziałbym sobie;

— Jak jednak Rosja stała się militarystyczną, skoro kobiety są tam mianowane generałami! Za czasów carskich tylko cesarzowa i kilka wielkich księżniczek przywdziewały od czasu do czasu błyszczące uniformy, aby asystować przy paradzie wojskowej. Obecnie Rosja Sowiecka szczeni się prawdziwymi generałkami, które przekładają proch nad puder Guerlain'e'a.

Coby powiedziano, gdyby Francja posunęła tak daleko swój militarystyczny, żeby jej „generalsze“ paradowały nie tylko na scenkach music hallów?

Być może, że szanownemu koledze Duhamelowi przychodziły również podobne refleksje, gdy przyglądał się „poważnej i inteligentnej“ twarzy dygnitarki bolszewickiej, jednak refleksje te wolał pozostawić dla siebie samego.

Mimowoli nasuwa się znana anegdota o bolszewikach: Jak nazwać taki czyn, że ktoś tobie zabiera spodnie? — Kradzieżą. — A jak nazwać taki czyn, że ty zabierasz komuś spodnie? — Dobrym interesem.

R. C. H.

KOBIETY GŁOSUJĄ ODDZIELNIE

Podczas wyborów do Rady Miejskiej w Łodzi kobiety będą głosowały w innych biurach, mężczyźni — w innych. Ową separatyzm płci przy wyborach spowodowany jest decyzją łódzkiej komisji wyborczej, która jest zdania, że oddzielne głosowanie kobiet miało duże znaczenie dla statystyki i wykaże zainteresowanie kobiet sprawami gospodarki miejskiej oraz ich poglądy polityczne. Z niecierpliwością oczekujemy wyniku owych wyborów. R. C. H.

CUDOWNY OBRAZ MATKI BOSKIEJ KODENSKIEJ UROCZYŚCIE WRACA DO KODNIA

Sprowadzenie cudownego obrazu Patronki Polski do jego skromnej siedziby w Kodniu, wywołało olbrzymie poruszenie w całym narodzie. Liczne delegacje i tysiące wiernych na kilka dni przed uroczystością zdążyły nieprzerwanym sznurem do miasteczka. Ilustracje nasze podają dwa fragmenty tej doniosłej uroczystości, która na długi czas pozostanie w pamięci wszystkich uczestników.



Kompanje, przybyłe na uroczystości do Kodnia

ODZNACZENIE SZEŚCIOLETNIEJ DZIEWCZYNI

Josette Foatelli, tancerka, licząca zaledwie sześć wiosen, została w tych dniach nagrodzona medalem amerykańskiego Czerwonego Krzyża za liczne i bezinteresowne przyjmowanie udziału w koncertach i widowiskach, urządzanych dla żołnierzy francuskich i amerykańskich.

Pośród niezliczonych rekordów światowych, ogłaszanych codziennie przez prasę, ten rekord wieku, w którym się otrzymało odznaczenie za służbę publiczną, należy niewątpliwie do najciekawszych.

Należy dodać, że mała tancerka rozpoczęła swoją karierę artystyczną, mając lat trzy, w towarzystwie starszej swej siostry, znanej w Paryżu tancerki Renée Foatelli.

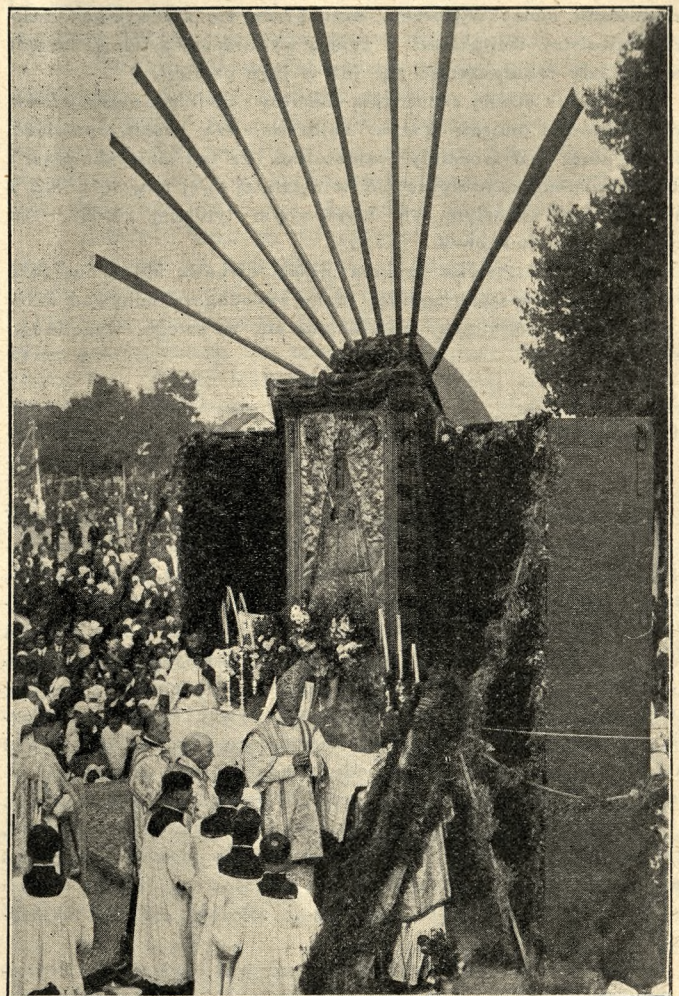
Pomimo tego, że Josette otrzymuje za swe występy honorarium, za które mogłaby codziennie kupić sobie wielką lalkę, mała artystka, mająca dobre serduszko, gdy chodzi o jaki cel dobroczynny, najchętniej tańczy bezinteresownie.

R. C. H.

TYLKO CO CZWARTA KOBIETA MOŻE W NIEMCZECH WYJŚĆ ZAMĄŻ

Ostatnie obliczenia statystyczne niemieckiego ruchu ludności wykazują, że liczba urodzeń kobiet w Niemczech przewyższa ilość mężczyzn o 2 miliony. Z chwilą dorastania młodego pokolenia, sprawa przedstawia się jeszcze gorzej. Chłopców w wieku od 17 do 25 lat jest o 3 miliony mniej, młodych mężczyzn od 1. 25 — 30 tak samo. Na tej zasadzie obliczono, że, przyjmując przeciętny wiek małżeństwa od 23 — 37 lat, — zaledwie co czwarta kobieta w Niemczech może wyjść zamąż.

N. J.



Msza święta, odprawiona przez ks. biskupa Sapię



Janusz Meissner — „Hangar Nr. 7”. Nakładem „Biblioteki groszowej”.

W pierwszych numerach miesięcznika „Na fali” zadebiutował dwiema lotniczymi nowelami młody porucznik pilot Janusz Meissner. Były to: „Hangar Nr. 7” i „Białe reportery”, utwory, które przy młodości w podejściu do tematu i kompozycji, jeszcze bardzo prymitywnej, — porywały żywością narracji i prawdą wycucia niesamowitej treści.

Debiut literacki rozmiłowanego w swym powietrznym fachu pilota udał się znakomicie, bo oto leży przed nami pierwszy zbiór jego nowel, do którego, obok dwóch wyżej wspomnianych, weszły jeszcze opowiadania: „Czerwone widmo”, „We mgle”, „Koncern Kossutha”, „Znikające lotnisko”, „Przeszkody lotu”.

Trzeba tak dobrze znać duszę i życie lotnika, jak je zna p. Meissner, żeby zrozumieć sugestywny wpływ przesądu, przecucia, uroku, jednym słowem tego, co byśmy nazwali magią powietrzną, — na podświadome nurty jego psychologii.

I dlatego wszystkie owe duchy widma, znikające lotniska, białe reportery i inne zjawy, wkraczające sobie poprostu, bez specjalnej dekoracji i umyślnego zameldowania w realistycznie potraktowany świat wydarzeń, same przez się niezwykłych, — nabierają swoistej wypukłości i żyją w wyobraźni czytelnika nawet wówczas, gdy fabuła zatrze się już w jego pamięci.

Pomijając stronę sensacyjną tematów, podnieść musimy nerw lotniczy, którym pulsuje każda, najdrobniejsza nawet, opowieść. Czuć, że autor jest zrosnięty z samolotem, i że ten „instykt ptasi”, o którym wspomina wielokrotnie w ostatniej swej noweli z Nr. 7 „Na fali” pod zwięzłym, ale wymownym tytułem: „4300”, — ten instykt nie jest mu obcy.

Nasza beletrystyka zyskała nową ciekawą indywidualność twórczą. Dzięki jej wynurzeniom, mamy sposobność odbywać dalekie podróże napowietrzne, nie ruszając się ze swego wygodnego fotela.

S. P. O.

Eustachy Czekalski. „Proste drogi”. Powieść — Nakład Gebethnera i Wolffa.

Skarżymy się niejednokrotnie na brak dobrych powieści dla młodzieży, dla tej młodzieży, której Mayn-Ried i Bukowiecka już nie zadawała, która pochłonęła już Prusa, Sienkiewicza, Orzeszkową, a której jeszcze nie wszystkie twory współczesnej beletrystyki można dać do ręki. Taką książką, która nie nosi na sobie kompromitującego dla wielu podlotków szyldu „dla młodzieży”, a która ma jednak zdrową do szpiku kości tendencję i duże znaczenie wychowawczo-społeczne — przy żywej i zajmującej narracji — jest ostatnia powieść Eustachego Czekalskiego. Jest ona zarazem prostą, ale śmiałą odpowiedzią tym, co we współczesnej młodzieży widzą tylko czcicieli boksu, jazzbandu i dolara.

Autor pokazał nam, jak ta młodzież akademicka pracuje, uczy się, bawi, walczy z losem; jak zwycięsko wychodzi z pokus i załamań życiowych; jak od miłości zmysłowych i przelotnych odwraca się do prawdziwej, rzetelnej i zdrowej miłości małżeńskiej.

Całość, owiana słonecznym optymizmem i wiarą w człowieka, powinna znaleźć się w ręku nie tylko naszych licznych studentów i studentek, ale wszystkich prawdziwych przyjaciół młodzieży.

S. P. O.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Drobnych rękopisów nie zwracamy. Z obszerniejszych nowel, artykułów i t. d. ulegają zwrotowi tylko prace, zaopatrzone znaczkami na odpowiedź i wyraźnym żądaniem odesłania wrazie nieprzyjęcia.

* * *

Pani M. S. Niezmiernie wdzięczni jesteśmy za ocenę naszego, nie tyle nawet bez, co ponad — partyjnego stanowiska. Naprawdę, zbyt wiele jest do zrobienia, żeby znaleźć poprostu czas na wszczepianie klina w tę dziedzinę wojującej stroniczości. Metoda ta nie dałaby żadnych wyników konkretnych, a o te konkrety właśnie najgoręcej walczymy. Prosi Szanowna Pani o radę. Czy można komuś odradzać pisanie, skoro ma do niego rzetelny pociąg? Pozostaje więc kwestja druku. Nadesłanego artykułu nie zamieścimy — porusza on bowiem rzeczy, jakże często i jakże ciągle powtarzane! Sprawa, zresztą, rozwikła się sama. Śmiemy zapewnić, że ten powierzchowny, pusty typ kobiety pracującej prędkiej, czy później zostanie wyrzucony z zajmowanego niesłusznie stanowiska odśrodkową siłą bezużyteczności. W poszczególnych wypadkach może oprzeć się czas jakiś na sile męskiej protekcji — ale będzie to wypadek i rzadki, i na krótką metę działający. Nad wszystkim zawsze ciąży żelazne i, tym razem, słusne prawo wydajności. Teraz — w myśl przysłowioвого już u nas konkretnie — rada, o którą prosi Sz. Pani. Uważne wczytywanie się w nasze artykuły wykaże najlepiej skalę redakcyjnych wymagań: własna, oryginalna myśl w powłoce własnego słowa. Badać. Obserwować. Gromadzić sumienny materiał. Notować zarówno tłoczący szablon dla wniosków negatywnych, jak zjawiska, nawet poszczególne, wręcz pojedyncze pomocne wysnuwanie wiary w rzeczy dobre. No i czytać jaknajwięcej współczesnej dobrej prozy, gwoli należytemu językowemu wyrobieniu. Na zakończenie, zwykle: „drobnych rękopisów nie zwracamy”.

Pani Stan. Mian. Wiersze bardzo słabe. Rytm szwankuje, „ja” i „ma”, „chcę” i „śle” — to nie są żadne rymy. No i ten „fysk”, dlatego, że było „dysk”. Niechże Pani więcej czyta dobrych wierszy! Przedewszystkiem trzeba osiąść sztukę krytycznego sądzenia własnych utworów. Najlepsze „życzenie”, — to: „W Boga ze srebrną brodą na złocistym tronie”. Poza to jednak trudno coś wyłowić. Niech Pani bardzo sumiennie nad sobą popracuje i dłuższy czas nie myśli o drukowaniu. Chętnie zawsze radzimy „co czytać” — ale może Pani sama się w tem orientuje?

Pani S. G. z Nowogrodu z Łomżyńska. Niestety, bez matry nie może Sz. Pani uzyskać prawa nauczania w szkołach średnich, wymagany jest bowiem egzamin nauczycielski przy uniwersytecie, co wraz ze zdaniem matury zajęłoby zbyt dużo czasu.

Możliwym jest, natomiast, zdobycie prawa nauczania w szkołach powszechnych. Należałoby się w tym celu porozumieć z jakimkolwiek Kuratorem Szkolnym (departament szkolnictwa powszechnego), aby zezwoliło na uproszczony egzamin. Jest to jedyny sposób wyjścia.

„MODNE ROBOTY KOBIECE”

BOGATO ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK

Każdy zeszyt stanowi oddzielną całość i daje sposoby wykonania najnowszych rodzaju robót kobiecych, oraz wzory naturalnej wielkości.

ZESZYT CZERWCOWY:

„NAJNOWSZE SPOSOBY OZDABIANIA SUKIEN” — aplikacja, haft, liworyzacja.

ZESZYT LIPCOWY:

„NAJMODNIEJSZE SZALE” szydełkowe i na widełkach.

ZESZYT SIERPNIOWY:

ARTYSTYCZNE TKACTWO BEZ WARSZTATU.

Cena zeszytu 2 Zł.

Adres Redakcji — Krakowskie Przedmieście 99.

Adres Administracji — Górnośląska 19.

KULTURA BEZ SALONÓW I SALONY BEZ KULTURY

W dobie urzędowej demokratyzacji kultury tradycyjny salon nie stanowi rzeczy aktualnej. Odchodzi w cień, niby pretensjonalny emeryt, ustępując miejsca krzepkiej, bezceremonjalnej młodzie: — kawiarniom i dancincom.

Aprobując walkę z konwenansem, szablonem i obłudą salonów, z ich snobizmem i niewspółczesnością, — wdychamy jednak w skrytości ducha do atmosfery kulturalnego salonu, jaki dziś coraz rzadziej się trafia,

Bo przecie dobra rzecz — równość — i niech tam sobie lada kmiotek ma szansę zostania profesorem, lub senatorem — ale żeby tak koniecznie rzeźnik miał rozumieć Krasieńskiego, albo monter - Bergsona, to tak bardzo nie stoimy o to.

Zawsze to hierarchja być musi jakaś ustalona; coś się należy zasłużyć tradycji, pracy umiłowanej, polotowi uzdolnień, dostojestwu psyche indywidualnej. Nawet pedagogja społeczna zwróciła na to uwagę, że zbyt łatwo przyswajane przez młodzież wiadomości zbyt szybko się ulatniają, nie tworząc kapitału jej umysłowości.

Salon z tradycji, z urzędu niejako, był miejscem choćby miniaturowej elity ludzi, chcących bodaj na chwilę nią być. Wzniesić się nad szarzyznę, zgiełk, płaskość — sięgnąć w sferę „dobrego tonu“, zabłysnąć sobą i odświeżyć się w blasku drugich — nęciło zawsze i pobudzało. Zabawa, to pretekst, sedno zaś — to wymiana dodatnich wrażeń w atmosferze pewnej odświętności. Uczucia, związane z życiem salonu, jego stylem, wymogami, imperatywami, odziedziczyliśmy w spadku po przeszłości bardzo wartościowej. Z Włoch przedewszystkiem renesansowych przeszły salony do Francji, i stamtąd typ życia salonowego rozpowszechnił się po całej Europie. Sięgnął i do nas. Wiek XVIII, doba rozkwitu kultury towarzyskiej, estetycznej i umysłowej za Stanisława Augusta, wiąże się ściśle z salonami arystokracji naszej. Tumult biesiadnych konceptów zastępowała sztuka zręcznych słówek, myśli ostrych i miłych, podobania się przez smak, aktualność manier i wykształcenia.

A potem — w dobie zaborów — jakże wielką rolę odegrały te — tak skromne nieraz — salony ludzi średnio zamożnych, gdzie ogniskowała się mądrość starych, zapał młodych, gdzie kwitły barwami wciąż świeżymi: nowa myśl i dawna tęsknota — z pokolenia w pokolenie!

Nie od rzeczy i dziś będzie zastanowić się nad istotą salonu.

Przedewszystkiem — w salonie usiłujemy zgromadzić to, co posiada największą wartość estetyczną. Inaczej, czujemy, być nie może. Meble, tkaniny, obrazy, drobiazgi — wszystko, co najsilniej uderza zmysł piękną, tam właśnie znaleźć się powinno. Od tego jest salon. Zapewne, chodzi często o reprezentację, o świadectwo zamożności i dobrego smaku mieszkańców. Ale przedewszystkiem — o coś innego: O wytworzenie środowiska, pozwalającego człowiekowi zapomnieć o szarzyźnie codzienności o schronisko przed troską i brzydotą; o przybytek choćby najskromniejszej sztuki, nastrojającej w sposób odświętny, trochę uroczystry, a trochę rozbawiony.

I gość czuje się w salonie odrębnie. Nie jak na ulicy, ani w restauracji, ani w poczekalni. Spotyka tu otoczenie, sugerujące mu myśl, że można żyć pięknem, że można stawać się pięknym i właśnie dostosować się do tego — jest sprawą jego estetycznego sumienia, choćby w formie trochę ośmieszanej „dobrego tonu“. Niech gdzieś powiedzą o kimś: — to stara panna, to stary, pomarszczony „piernik“, to krewki szlagon — salon zrobi ze starej panny — interesującą i wykształconą, gościnną i serdeczną kuzynkę pani domu, z pomarszczonego staruszka — gawędziarza bajecznego i szarmanta względem pań, a rubaszny szlagon nabierze męskiego wdzięku i miłej werwy.

Salon uczy człowieka patrzeć na siebie i na drugich jako na tworzywo estetyczne. Znaleźć i wydatnić swój własny styl, ozdobić to, co się ma w sobie do ozdobienia — doświadczenie życiowe, temperament, uzdolnienia, czy wyraz — oto co nakazuje salon kulturalny.

A więc — gromadząc przedmioty artystyczne, musimy równocześnie zbierać w salonie odpowiednie jednostki. Takie właśnie, które te ambicje estetyczne posiadają i wzajem w sobie cenią. Nie utożsamiamy jednak tego z salonową produkcją mydłków i lalek!

Kulturalny salon, a więc przedewszystkiem salon kulturalnej pani domu, nie opiekuje się podobnymi okazami. Mogą tu i owdzie się domieszać, ale tonu nadawać nie będą. Ton będą nadawać ludzie elity. Bywają nimi nierzadko ludzie pracy zawodowej, obok światowców w dobrym znaczeniu wyrazu. Jedne salony gromadzą np. dyplomatów, inne — artystów, inne — literatów, inne — profesorów; ustalają się pewne tradycyjne figury, uczęszczające do jednych, a nieobecne w drugich salonach. Salony są, jak szkoły mistrzów dawnych. Znamy dobrze zarzuty, jakie od czasu do czasu ściągano na siebie nadmiernie rozwinięte życie salonowe. Ani myślimy ich obalać. Lecz w typie dzisiejszego życia, w typie sportowo-dancingowym zanik salonów daje się zupełnie wyraźnie odczuwać.

Zanikła bardzo wyraźnie jedna z szacownych cech kultury — subtelność. Kanciasta szczerłość, poufała gburowatość, oschła racja pragnień i zachceń, wypierają wrażliwość na półtony i aluzje, na głos cichy i zamyślenia, na zestrój duchowy i echo skrytych wzruszeń. Życie kawiarni i dancingu, objanie się po boiskach sportowych, hotelach i klubach — zaciera w jednostkach zrozumienie i szacunek dla kultury uczucia.

Rzecz oczywista — nie wszystkie uczucia w salonach nadają się do kultury. Do takich należą np. silniejsze namiętności, wszelkiego rodzaju ekstazy, wynurzenia zbyt szczerze, dramatyzowania przeżyć — bezwątpienia. Salon wytwarza swoją własną ekspresję. Trzeba lekko — jak po posadzce — przesuwać się po tematach; trzeba błyszczeć, ale nie parzyć; zaciekawiać, lecz nie straszyć; uczyć, lecz nie nudzić; podobać się, lecz nie uwodzić — słowem, jest to zupełnie swoisty kodeks obcowania. Powtóre — salon budzi ambicje wykształcenia. Z reguły mówi się tam o nowościach teatru, wystaw obrazów, beletrystyki — ludzie, schodzący się w salonie wykształconej pani domu, z konieczności muszą trochę czytać, interesować się życiem umysłowym, zdobywać się na własny sąd. W kawiarni i dancingu można bezkarnie uchodzić za analfabetę — w salonie — nie. Noblesse oblige — i w tym sensie.

A cały szereg formuł towarzyskich, intelektualnych i estetycznych, wyrabianych w salonach? Afo-

ryzm, paradoks, „bon mot“, wszystko, co trafia w sedno, jest eleganckie i rozsądne, co nadaje każdej formie życia jej rację i sens. „Kokieteryja jest czarującą sztuką“ — taką myśl mógł wygłosić bywalec salonów (Renan), a nie odludek. Jeśli salon nie uczy, jak sięgać szczytów i otchłani, to jednak uczy, jak z człowieka można zrobić coś pięknego i miłego.

Dzisiejsze salony — reprezentacyjne lokale do zebrań snobów, dorobkiewiczów i biurokratów, — salony bez kultury, — nie nauczą nas tego i nie kuszą się zresztą o to. Ale nasze stare, tradycyjne salony (Polska ma piękną tradycję swoich salonów, a polki sławę europejską czarujących pań domu), wskrzeszone i podtrzymane tu i tam — odegrać mogą rolę wybitnie dodatnią, bo godziny, spędzane w ich atmosferze — jak były, tak i będą godzinami estetyki człowieka. Zbyt często słyszy się o człowieku, jako o cząstce masy, o człowieku, jako o splocie instynktów, o człowieku, jako kółku w maszynie, o człowieku, który skrzypi i jęczy. — W akordzie pełnego życia niezbędny jest ton człowieka, który kocha kwiaty.

Wykształcona i subtelna (co wcale nie zawsze idzie w parze) kobieta dzisiejsza, zbierająca w swym salonie ludzi wartościowych, kobieta, wytwarzająca tam atmosferę zainteresowań intelektualnych i ambicji estetycznych, łączność i pokrewieństwo tonu uczuciowego, układająca z mozaiki ludzkiej ornament mądrości życia — taka kobieta niewątpliwie zasługiwać będzie na order, którego narazie brak w Europie, a który musi być niedługo ustanowiony: — order „Cultura restituta“.

L. Konopacki



SŁUŻBA DOMOWA

Motto naszego życia codziennego, to stare, a wiecznie nowe wyrzekanie na służbę domową. Racjonalnych podstaw nie brak ku temu nigdy, a jednak rzadko o sytuację, w której byłibyśmy bez winy.

Stosunki nasze wykluczają prawie ryczałtowo fachowe wykształcenie, szczególnie tam, gdzie chodzi o tak zwaną służącą „do wszystkiego“. Racjonalniejszym, a nawet jedynie racjonalnym, byłoby ujęcie tego typu w słowa odmienne i nazwanie jej „służącą do niczego“. Zanim przystąpimy do krytykowania niedoborów, zastanówmy się nad naszą rolą w tej sprawie.

Wobec zupełnego braku, do niedawnego czasu, szkół fachowych dla służby, — poza nielicznymi szkołami dla kucharek — musimy przyznać, że służące swoje wychowujemy i wyszkalamy my same. Jaki siew, taki plon. A że siew przeważnie bywa nieumiejętnie wykonany i niedbały, trudno dziwić się, jeżeli najurodzajniejsza nawet gleba niewdzięczną się okaże.

Wykształcenie służącej, narówni z wychowaniem dziecka, jest rzeczą, wymagającą ciągłej samokontroli i drobiazgowego starania. Nałóg niedbalstwa, lekceważenie drobiazgów, brak systematyczności, tak zwane „robienie po łebkach“, raz zaszczerpane, nie wykonują się już nigdy. Dlatego też, biorąc służącą zupełnie surową, dochodzimy przy umiejętności kierowania

nią do najlepszych najczęściej wyników. O ileż trudniej tępić raz nabyte wady, niż zaszczerpać zalety! Dziewczyna młoda, zdrowa, odznaczająca się dodatkami cechami charakteru, pojętna i chętna — może się łatwo stać w przeciągu niedługiego czasu sprawną pracownicą.

Najważniejszą rzeczą jest jednak przyuczenie jej od początku do pracy planowej i pozbawionej cech bezmyślności.

Maszynierja najlepiej nawet nakręconego manekina wyczerpie się po jakimś czasie, a gdy mu zabraknie przewodniej myśli i ręki, naciągającej codnia sprężynę, wyjdzie najaw cała jego bezduszność i bezwartościowość.

Wpojenie poczucia odpowiedzialności za wykonywaną pracę, a przez to samo i pewna samodzielność, dają u natur, obdarzonych pewną dozą miłości własnej doskonałe wyniki; jak również i ocenienie z naszej strony dobrej woli i wysiłku, nawet gdyby nie dał w danym wypadku pożądanego rezultatu.

Nie należy przytem zapominać nigdy, że niema na świecie pani, która nie byłaby krytykowana przez swoją służbę, jeżeli nie w słowach, to w myśli. Jesteśmy wszystkie tak dalekie od doskonałości, że nas to oburzać nie powinno.

Świadomość ta powinna nam być wskazówką, że wyrozumienie dla błędów osób, nam podwładnych, sprawiedliwość i życzliwość sądu wytworzy między panią domu, a służbą stosunek, oparty na wzajemnym zaufaniu i wolny od rozgoryczenia i nurtującego, nieraz słuźnie, żalu.

Dbałość o potrzeby służby, zapewnienie jej spokojnego, ciepłego i czystego kąta, należytego wypoczynku, dostatecznego pożywienia, rozrywki, przystosowanej do poziomu jednostki, wglądanie w jej sprawy osobiste ze szczerem zainteresowaniem, — przywiązują zawsze do domu i dają wyniki dodatnie. Jeżeli więc która z nas nie umie stworzyć służącym odpowiednich warunków, niech się nie dziwi, że pobyt w jej domu uważają za erę przejściową i przy pierwszej nadarzającej się sposobności — opuszczają go bez skrupułów i żalu. Objaw ten, spotykany zresztą bardzo często, uważamy zwykle za czarną niewdzięczność, a zniechęcenie, jakie łatwo rodzi się w duszy naszej, zwykłyśmy przenosić na następczynię, wychodząc z założenia, że nie warto być dobrą dla służby, bo tego nigdy nie oceni. Otóż ośmielę się sprzeciwić temu jak najgoręcej. W długiej praktyce życiowej doświadczenie nauczyło mnie, że rzadko kiedy lojalne stanowisko nasze daje wyniki ujemne. Za wyjątkiem wybitnie ujemnych jednostek, które spotykamy przecież rzadziej, niż normalne, każda prawie służąca jest w stanie odpowiedzieć dobrem na dobre, — rzadko która zapłaci życzliwością i sumienną pracą za obojętność i niedoceniecie jej praw i potrzeb. Tyle, co do ustosunkowania się moralnego, na którego podstawie wytworzy się łatwo wspólność zainteresowań w pracy i chęć jak najlepszego wypełnienia wziętych na siebie obowiązków.

Szkolenie służącej polega na tem, aby wprowadzić ją od pierwszego dnia w krąg wymagań i potrzeb danego środowiska. Koniecznym jest tutaj zorientowanie się czego można wymagać bez przeciążenia służącej. Nadmiar roboty da zawsze wyniki ujemne; natomiast nie wolno patrzeć pobłaźliwie na zaniedbywanie obowiązków, raz włożonych na służącą z chwilą, kiedy jesteśmy pewne, że bez przeciążenia wykonać je może. Niema, bowiem, nic bardziej demoralizują-

cego i wykolejającego porządek domowy, jak patrzeć przez palce na pomijanie pewnych czynności, co zrodzi wkrótce zupełne zaniedbywanie takowych i wliczenie ich do robót nadetatowych.

Systematyczność w życiu codziennym jest jednym z najważniejszych czynników posiadania dobrej służby. Rozplanowanie dnia, trzymanie się godziny posiłków, wydysponowanie sprawunków i obiadu z dnia na dzień, lub wczesnym rankiem; umiejętność obchodzenia się bez drobiazgowej osobistej usługi, jeżeli się ma jedną tylko służącą, która musi podolać całej pracy domowej; wreszcie odciążenie jej, w miarę możliwości, wzięciem na siebie drobnych prac, które zabierają najwięcej czasu,—będą zawsze najskuteczniejszymi czynnikami pomocniczymi.

Jeżeli wstaniemy zawsze o odpowiedniej porze, zjemy wcześniej śniadanie, nie opóźnimy się na obiad, wprowadzimy zwyczaj spożywania kolacji o odpowiedniej godzinie, a nadewszystko, posyłając służącą na miasto, nie zapomnimy o szeregu drobiazgów, po które musi biegać wtedy, gdy już się zabierze do sprzątnięcia, lub gotowania,—wytworzymy warunki normalne, a spokój, z jakim będzie się mogła oddać pracy, odbije się dodatnio na jej wydajności. Służąca, która ma wziąć się od wczesnego rana do roboty, musi być należycie wypoczęta, a przed pójściem spać powinna mieć zawsze trochę czasu dla siebie, aby chcąc poczytać, uszyć sobie coś, lub zreperować, nie przesiadywała do późnej nocy i nie wstawiała na drugi dzień z poczuciem ociężałości i zniechęcenia, które towarzyszą zawsze zbyt krótkiemu wypoczynkowi.

Może niejedna z pań, czytając te słowa, pomyśli, i zresztą słusznie, że o wiele łatwiej idealizować na papierze, niż w życiu; a jednak, kto robi w samotności i ciszy szczyry rachunek sumienia, wybaczy wiele swoim służącym, przez sam fakt odnalezienia w samej sobie winy. Zanim zaczniemy wyrzekać, sądzić i potępiać, zróbmy zawsze ten nieszczęsny rachunek sumienia, a wyrok zatraci niejednokrotnie surowe kontury, i zrozumiemy może nareszcie, jak ściśle związane jest wyleczenie się z bóleczki posiadania złej, niewdzięcznej i niewyszkolonej służby—z naszym osobistym ustosunkowaniem się do całej tej sprawy. W. D.

„KWIATY OGRODOWE“

„Po odrodzeniu Ojczyzny naszej tętno nowego życia wstąpiło w naród; zaczęliśmy usilnie dążyć do poprawienia naszego bytu, do lepszej przyszłości. W rodzimej gospodarce spostrzegliśmy tysiące braków, do których zapełnienia należało natychmiast przystąpić. W sprawach, bliżej nas, ogrodników, dotyczących, między innymi dotkliwie dawał się odczuwać brak podręcznika do hodowli kwiatów gruntowych. Ulegając namowom kolegów i znajomych, postanowiłem choć w części brakowi temu zaradzić, zabrałem się więc do pisania tej książki¹⁾, która dziś ma się rozzejść po całej Polsce. Celem moim stało się napisać nie ściśle naukowe dzieło, mogące zadowolić wykształconego fachowo ogrodnika, ale raczej dać pracę jaknajbardziej popularną, która stałaby się należycie przystępną i zrozumiałą dla najszerszego zastępu miłośników ogrodnictwa, częstokroć zupełnych laików, jako też dla licznej rzeszy rozsypanych po kraju skromniejszych ogrodników. 50 lat praktyki ogrodniczej — to spory kawał czasu; a że losy w życiu mi sprzyjały, że każdego lata miałem możliwość ścisłego obcowania z kwiatami, i to z wielką ich ilością, wśród których najświeższe nowości zawsze królowały,—nazbierało się zatem wiadomości sporo. Część ich przelałem na papier, najchętniej dzieląc się niemi z młodszym pokoleniem, z najszczerzym życzeniem, byście Wy, młodzi, mogli z przyrody wchłaniać nieprzebraną mnogość szczęścia i zadowolenia, jak to było udziałem życia mojego“.

Przystępując do skreślenia notatki o nowej książce Stefana Makowieckiego, pozwoliłem sobie przytoczyć powyższy ustęp, zaczerpnięty z przedmowy Autora. Cóż można dodać do charakterystyki książki, której genezę tak nam skreślił jej twórca, i tak wyraźnie zaznaczył jej cele i zadania?

A jednak dodać trzeba, że owa charakterystyka została autorowi podyktowana przez jego swoistą, nieodstępną mu skromność, która towarzyszy wszystkim jego poczynaniom, a chwyta za serce tych, którym dano z nim bliżej obcować. W charakterze Stefana Makowieckiego występuje jaskrawo dobroczynny wpływ obcowania z przyrodą i gorącego jej umiłowania: rozkochany w roślinach, miłość swą przenosi na całą ludzkość; we wszystkich widzi tylko zalety, a własne swe zasługi bagatelizuje. Nie dziw zatem, że jedno z najcenniejszych i najobszerniejszych dzieł polskiej literatury ogrodniczej, że jedyne, tak wyczerpujące, i jedyne, na wieloletniej praktyce oparte, dzieło o kwiatkach ogrodowych—opatruje tak skromną przedmową,

Lecz o wartości jej wymownie świadczy fakt, że już w tej samej przedmowie autor mógł napisać: ... książka moja... jest jednak na wyczerpaniu, gdyż znaczna część nakładu rozeszła się pomiędzy subskrybentami wydania zeszytowego; zapewne wkrótce przystąpimy do nowego jej wydania“.

Jest to sukces, w piśmiennictwie specjalnem rzadki. Nie robiłby wrażenia, gdyby chodziło o Lon-

¹⁾ „Kwiaty ogrodowe“. — Podręcznik hodowli roślin ozdobnych zielnych: rocznych, dwuletnich i bylin, przydatnych do hodowli w naszych ogrodach, bez pomocy szklarni. Notaty miłośnika ogrodnictwa na podstawie własnej 50-cioletniej praktyki skreślił Stefan Makowiecki, Naczelny Redaktor „Przeglądu Ogrodniczego“. Lwów i Warszawa 1927, nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego

KOMPLETY TKACTWA RĘCZNEGO ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ
WSPÓŁPRACOWNICZKĘ DZIAŁU
ROBÓT W „BLUSZCZU“

INFORMACJE TELEFONICZNE

DC G. 10-ej RANO I OD 3 DO 5 PP. TEL. 273-34.

dona, czy wreszcie choćby o podręcznik radjowy. Ale tu mowa o roślinach. A omawia autor niezliczoną ich ilość. Ułożone według 68 rodzin, mieszczą się w tej książce wszystkie rośliny kwiatowe, które wytrzymują nasze warunki klimatyczne i dają się w naszych ogrodach rozmnażać i przechowywać bez uciekania się do pomocy szklarni.

Książka Makowieckiego składa się z 472 stron tekstu, ozdobionego 491 ilustracją.

Więc nie czyta się tu na ślepo, lecz można sobie odrazu uprzytomnić wygląd omawianej rośliny i porównać ją z pokrewnymi. Język prosty, jasny, zrozumiały, opisy treściwe, zawierają jednak wyczerpującą charakterystykę rośliny i jej zastosowania.

Niejeden z czytelników może żałować będzie, że brak w tem dziele opisu metod siewu, sposobów rozmnażania, czy sadzenia roślin kwiatowych, ale wszystkie tego rodzaju wskazania znajdują się w rozmaitych podręcznikach, a dla wszystkich rodzajów roślin obowiązują prawie jednakowe. Więc kto potrafi siać i sadzić warzywa, da sobie radę z siewem i sadzeniem roślin kwiatowych. Natomiast wymagania specjalne poszczególnych gatunków na glebę, wilgoć, słońce, oraz wysokość, którą osiągają, są podane dokładnie. Ułatwia to niezmiernie właściwe zastosowanie gatunków i odmian do właściwego celu.

Dzieło bardzo starannie wydane, na trwałym, ładnym papierze i w gustownej oprawie, świadczy dodatnio o księgarni nakładowej B. Połonieckiego, która niejednokrotnie już przyczyniła się do wzbogacenia piśmiennictwa ogrodniczego, i w ten sposób wydawnictwo popiera rozwój polskiego ogrodnictwa. Należy się jej za to szczerze uznać.

Stan. Schönfeld.



FOOTING

Obecnie, gdy nastały piękne dni jesienne, footing czyli spacer pieszy, jest bardzo modny i aktualny. We wszystkich wielkich miastach—jak w Paryżu, Berlinie, Londynie, można spotkać całą plejadę pań, z zamłowaniem i gorliwością uprawiających ten sport. Footing ma tę dobrą stronę, że, uprawiając go, trzeba wyrzec się wysokich obcasów, gdyż obowiązuje obuwie o płaskich, szerokich obcasach; nie można również nakładać wąskich spódniczek, tylko szerokie i krótkie, co tworzy, młodą sylwetkę. Footing jest doskonałym środkiem, by zapobiec utyciu; dobry footing wymaga przyspieszonego kroku, nie powinien jednak wywołać zadyszki. Przy footingu nie należy rozmawiać, nie trzeba również być obciążonym pakunkami, lub laską, ruch powinien być swobodny, szyja nie uciśnięta kołnierzem, lub szalikiem. Kapelusz najlepiej filcowy bez żadnego przybrania. Dobry footing może dać zadziwiające rezultaty, lecz powinien trwać przynajmniej godzinę bez przystawania;—footing wyrabia płuca, konserwuje elastyczność, daje piękną linję kolan, przyspieszając obieg krwi i przyczyniając się do odmłodzenia cery i oczu, którym dodaje blasku. Widzimy więc, iż folgując modzie, można zachować,

a nawet zdobyć urodę. Niektóre panie przesadzają, robiąc z footing'u trenning, co ma zupełnie inne znaczenie. Nigdzie footing nie jest tak rozpowszechniony, jak w Ameryce; niestety jednak zrobiono z niego sport, który z klasycznym footing'em nie ma nic wspólnego. Jeszcze raz zalecamy na obecną porę codzienny footing, by zachować zdrowie i wysmukłą figurę.

S. S.

TARGI WSCHODNIE

Wystawa drobiu i królików.

Rozrastają się co roku szerzej Targi Wschodnie, — jednak placu, pod nie zajętego, starczy jeszcze przez długie lata na najszybszy ich rozrost. Bez końca się wędruje pomiędzy większemi i mniejszemi pawilonami; mija się największy z nich, olbrzymi wprost „Centralny“, mija wspaniałą wystawę komunikacyjną, z krajowego wyrobu lokomotywami rozmiaru porządnym domów dochodowych; przechodzi się całe pole, zajęte przez pracujące hałaśliwie lokomobile i młocarnie i inne, cichsze, a nie mniej pożyteczne, narzędzia rolnicze; nakoniec jeszcze spory plac, przeznaczony na pokazy koni, bydła i trzody,—i nakońcu głośne gdakanie i gęganie wskazuje nam kierunek pawilonu z drobiem, — gdakanie i gęganie — no i charakterystyczny, nie dla każdego miły, aromat kurnika.

Na wystawie liczbowo dominują kury; jest to zupełnie słuszny stosunek, gdyż nasz eksport jaj bodaj że przewyższa eksport wszelkich innych artykułów gospodarstwa wiejskiego, a że te jaja, niestety, dotąd co do rozmiarów i wagi wiele pozostawiają do życzenia, przedewszystkiem więc na chów ras nieśnych powinna być zwrócona uwaga. Najwięcej jest kur „Rhod Island“, (dodatek „red“ jest tylko określeniem koloru upierzenia). Jest to rasa wytrzymała i bardzo nieśna, w tej chwili bardzo modna, bodaj czy nie modniejsza nawet od tak wychwalanych „polskich“ Zielononózek, lub przed laty kilkunastu „najwytrzymalszych“ „Plymouth kock'ów“. Tych ostatnich jest też dużo, widocznie jednak, poza chwilową modą, mają one i inne, rzeczywiste zalety. Niezależnie od nieśności, są one doskonałą rasą mięsną, i tak się u nas zaaklimatyzowały, tak z miejscowemi kurami pokrzyżowały, że niema chyba najgłuchszej wsi, żeby po jej ulicach nie chodziły kury o charakterystycznym kropkowanym, kuropatwianem ubarwieniu.

Orpingtonów niezbyt dużo, zato prześliczne, olbrzymie egzemplarze. Zielononózek, dużo i ładnych. Przeważają koguty: widocznie liczą na duży ich zbyt do krzyżowania ze zwykłemi kurami bez nazwy i znanego pochodzenia. Dalej po kilka klatek różnych kur; bodaj że najwięcej Minorek, — wszelkiej barwy i rozmiaru, aż do malusich, gołębic liliputek, na króciuchnych nóżkach, bardzo nieśnych i—w stosunku do swego wzrostu—duże jaja kładących. Kaczek sporo, przeważnie białych pekinów; trochę ruańskich, z których właściwie tylko jedno gniazdo jest piękne, inne—czy za małe, czy za młode jeszcze. Gęsi niedużo, co na kraj, taką masę gęsi hodujący, jak Małopolska, jest dziwne; gęsi wszystkie rasy dużej, białej, pomorskiej. Powszechną uwagę zwraca olbrzymi gąsior, rozmiarów łabędzia. Indyków zupełnie nie widziałam,—czyżby

mogła przejść niepostrzeżenie koło tak wrzaskliwego drobiu, nie zauważwszy go wcale?—Copr awda, tłok był nieopisany: chwilami fala ludzka wprost niosła zwiedzającego, nie dając mu się nigdzie zatrzymać. Zauważyłam parę gniazd ślicznych, śnieżno-białych perliczek. Szkoda, że zbyt mało hodujemy tych wybornych na pieczone ptaków; przy rzadkości zwierzyny w Polsce, mogłyby one ją w dużym stopniu zastąpić, mając smak mięsa, zbliżony do cietrzewia i do kuropatwy. Obok perliczek—klateczki z kanarkami; przed nimi zbita masa amatorów, przeważnie wyrostków—chłopaków,—zator, który trzeba omijać, przechodząc na drugą stronę pawilonu.

Zawsze z drobiem razem wystawiane króliki są u nas, niestety, dotąd traktowane, jako zwierzątka futerkowe tylko. Niedocenia się ich, jako świetnego materiału mięsnego. Istnieje zakorzeniony przesąd, że mięso królika jest mdłe i niesmaczne. Tymczasem jest to tylko nieumiejętność obchodzenia się z nimi w przyrządzaniu.

Odpowiednio zamarynowany i upieczony królik jest pieczystym zupełnie nie do pogardzenia. We Francji stanowią króliki jeden z podstawowych środków odżywiania średnio zamożnej ludności. Oprócz żywych królików, dużo wyprawionych skórek. Wiemy, że z królika umiejętny, a przemyślny kuśnierz zrobić potrafi lisa i gronostaja, sobola, gazelę i—lamparta; strzyżone, ba, nawet golone króliki,—te ostatnie nadrukowane w desenie skór wężowych i krokodylowych,—pokutują za wszystkie inne, trudniejsze do upolowania zwierzęta.

Pozostaje ogromny dział gołębi: zajmuje on niemal trzecią część całego pawilonu i obfituje w przeszliczne gatunki i egzemplarze. Najbardziej fantastyczne czuby, kolnierze, najpiękniejsze—na wzór pawich i indyjskich rozwijane—ogony, tęczowe upierzenia, no i rozmiary poszczególnych gatunków, dochodzące do rozmiarów sporej kury. I tutaj należy zwrócić uwagę, że hodowla jest amatorska,—chodzi o piękno, a nie o pożytek. O gołębiu mięsnym nie mówi się wcale, i gołąb na pieczone jest rzeczą prawie równie rzadką i kosztowną, jak kuropatwa. Z szacunkiem przechodzimy mimo strzeżonych przez żołnierzy gołębi pocztowych i oglądamy na ich klatkach świadectwa ich zasług położonych w służbie dla kraju,—spis i odległość pożytecznych lotów.

Pani Elżbieta.



JAK MOŻNA ZUŻYTKOWAĆ I PRZYPRAWIĆ MIĘSO KRÓLICZE

Podaliśmy niedawno w „Bluszczu“ szereg artykułów o hodowli królików. Dla czytelniczek, które skorzystały z nich i zaprowadziły u siebie małą chocią hodowlę,—podaję kilka sposobów użytkowania mięsa króliczego, lubianego bardzo zagranicą, a u nas—dzięki taniości (dawniej) innych wysokich gatunków mięsa,—nie branego zupełnie w rachubę. Któż chciałby jeść królika, kiedy bajecznie niskie ceny pozwalały mu odżywiać się wykwintnymi potrawami? Ale czasy, a z nimi ceny—tem samym i wymagania—zmieniły się, i jesteśmy zmuszeni pozbyć się niesłusznych uprzedzeń i, za przykładem naszych sąsiadów, nietylko nauczyć się jeść, ale i polubić potrawę, któremi u nas niesłusznie dotychczas gardzono, albo—w najlepszym razie—nie interesowano się nimi wcale. A przecież mięso królika jest bardzo delikatne, zdrowe i smaczne. Jakkolwiek kształtem królik podobny jest do zająca, mięso ma białe, przypominające w smaku raczej drób, lub cielęcinę; nadaje się znakomicie do przyrządzania rozmaitych, wykwintnych nawet, potraw; doskonale jest na rosoly, (przypominając do złudzenia rosół z kury) na smak do zup, na kotlety, paszety, galarety, majonezy etc.

Francja, przyswoiwszy sobie oddawna użytkowanie mięsa króliczego, spożywa je w ogromnej ilości. Sam Paryż zjada zgórą 100.000 królików tygodniowo, a Anglja sprowadza rocznie kilka milionów tychże. Zaznaczyć jeszcze muszę, że smaczne jest jedynie mięso królika, hodowanego na powierzchni ziemi, a zatem w kojcach, klatkach etc. Z żyjących w norach,—czy to dzikich, czy swojskich—mięso jest niesmaczne, prawdopodobnie wskutek przebywania w dusznym, często zatęchłym powietrzu. Podaję tu kilka sposobów przyrządzania mięsa króliczego, życząc moim czytelniczkom, aby ich spróbowały, udoskonały i wprowadziły w użycie, a przysporzą sobie wygody i oszczędności, a krajowi—dobrobytu; racjonalnie bowiem prowadzone hodowle, znajdując zbyt na swój towar, szybko rozwijać się będą, przynosząc duże zyski ich właścicielom.

1. **Rosół z królika.** Oprawionego w przeddzien czysto królika, opłókać, ale nie moczyć; wyżyłować, przerać tak, aby się wygodnie zmieścił w naczyniu, przeznaczonem do gotowania rosolu; ułożyć w niem mięso, zalać je zagotowaną wodą. W czasie gotowania odszumować, włożyć dużo włoszczyzny, pieczoną cebulę dla koloru, na dogotowaniu posolić. Gotować bardzo powoli—w 1½ godziny rosół będzie gotów. Podać go z kluskami francuskimi, lanemi, knedelkami etc. Trudno go odróżnić od rosolu z kury. Mięso gotowane można użyć na potrawkę z korniszonowym, lub pomidorowym sosem, i podać z krokietami z kartofli, albo usiekać i użyć na farsz do paszteków. Gotując smak na zupę z kości króliczych, od których mięso odjęliśmy na kotlety—trzeba w pierw zrumienić je na fryturze, lub na maśle i dopiero gotować z włoszczyzną przez 2 godziny. Następnie scedzić i zaprawić tem, z czego ma być zupa. Na zupy białe, to jest zaprawiane śmietaną, kości rumienić nie trzeba, tylko gotować zwyczajnie na dobry smak.

2. **Królik pieczony.** Królika oprawionego zalać na dwie doby marynatą, z pół szklanki do-

brego octu, pół szklanki wody, liścia bobkowego, 6 ziarn jałowcu, 6 ziarn pieprzu zwyczajnego i 6 ziarn angielskiego ziela. Następnie wyjąć go z sosu, posolić, obłożyć kawałkami słoniny, pokrajanej w cienkie plasterki i piec w gorącym piecu. Po zrumienieniu podlewać sosem od marynowania, wkońcu oblać śmietaną, rozbitą z łyżeczką mąki.

3. Kotlety siekane z królika. Oddzielone od kości mięso wyżyłować, przepuścić 2 razy przez maszynkę; 2 bułki obetrzeć ze skórki, namoczyć w mleku, wycisnąć; masła 12 gr. utrzeć z dwoma żółtkami na śmietaną, włożyć w nie bułkę i mięso, doskonale wyrobić łyżką na pulchną masę; posolić, popieprzyć; robić małe, zgrabne podłużne kotleciki, posmarować rozbitym z wodą białkiem, obsypać bułeczką tartą i smażyć na rumiano, na rozgrzanym maśle. Podać z zielonym groszkiem: do złudzenia naśladują kotlety pożarskie.

4. Budyń z królika. Mięso z zamarynowanego (przez dwa dni) królika, posolić, włożyć na blachę na gorące masło i upiec, podlewając często sosem od marynowania. Gdy wystygnie, przepuścić je trzy razy przez maszynkę wraz z 200 grm. surowej wieprzowiny; 1 cebulę utrzeć na tarce, udusić w troszce (10 grm.) masła; 40 gr. masła utrzeć na śmietaną, dodać 3 żółtka, obtartą ze skórki, namoczoną i wyciśniętą bułkę, mięso, odrobinę pieprzu białego, soli do smaku, 6 grm. proszku z pieczarek, wreszcie 3 białka ubite na sztywną pianę; dobrze wymieszać. Formę budyniową, wysmarować i wysypać bułeczką, napełnić tą masą do $\frac{3}{4}$ i gotować na parze do $1\frac{1}{2}$ godziny. Podaje się z sosem maderowym, truflowym, albo rumianym kaparowym. Na marynatę do zamarynowania mięsa bierze się $\frac{1}{4}$ szklanki octu, $\frac{1}{4}$ szklanki wina czerwonego, 2 ziarnka pieprzu, pół listka bobkowego i 12 gr. cebuli, którą, posiekawszy drobno, obsypuje się mięso i zalewa przygotowanym sosem na dwie doby.

5. Pasztet z królika. Mięso królicze zalewa się na dwa dni następującą marynatą: 2 szklanki wina czerwonego, 50 grm. krajanej cebuli, 12 grm. proszku z suszonych pieczarek, 2 goździki, 2 liście bobkowe i 6 ziarn pieprzu. Po wyjęciu z sosu, mięso naszpikować gęsto słoniną, posolić, poczem upiec, obrać z kości; 400 grm. wieprzowiny udusić, 50 grm. bułki namoczyć w mleku, wycisnąć, przepuścić z mięsem i słoniną, pozostałą od szpikowania, 3 razy przez maszynkę, poczem dodać 4 jaja oraz miażdżone 12 grm. korzeni; wymieszać doskonale, włożyć do foremki, wyłożonej cienkimi plasterkami słoniny, i albo upiec w gorącym piecu, albo ugotować na parze.

J. S



ZUPA ZE ŚWIEŻYCH GRZYBÓW

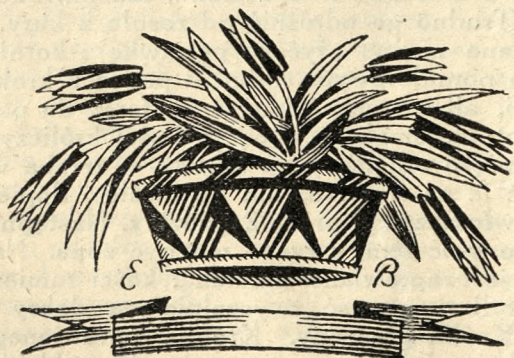
Na pięć talerzy zupy wziąć pół kilo świeżych, młodych grzybów prawdziwych, maślaków (obranych z ciemnej skórki), kozaków (babek), lub pieczarek, pokrajać w cienkie paski, udusić w łyżce masła, wraz z dużą, utartą na tarce, lub drobno pokrajaną cebulą. Gdy grzyby zmiękną, zaprawić je łyżką mąki, osolić, nieco popieprzyć. Rozprowadzić półtora litrem lekkiego rosolu z cielęciny, wołowiny, lub nawet z kostek, ugotowanych, jak zwykle, z włoszczyzną. Zagotować raz tylko, dodać kwaterkę kwaśnej śmietany, wylać do wazy na przygotowany, usiekany koperek. Do tej zupy można oddzielnie podać utłuczone i okraszone rumianem masłem kartofle, ryż na sypko, lub grzanecki z bułki.

KARTOFLE NADZIEWANE

Sześć bardzo dużych, równych kartofli (wagi razem nie mniej, niż 1 kilo) obrać delikatnie ze skórki, osolić, utarzać w mące i upiec w dobrze gorącym piecu. Resztki mięsa pieczonego, lub gotowanego (wołowiny, cielęciny, baraniny, lub wieprzowiny), pokrajać w drobną kostkę (mięsa powinno być nie mniej, niż 25 dekka). Zrumienić w maśle drobno usiekaną cebulę, wysypać łyżkę mąki, rozprowadzić rosółem do gęstości zawiesistego sosu, włożyć w to mięso, wcisnąć sok z cytryny, osolić do smaku, popieprzyć, kto lubi; dać wystygnąć. Z kartofli ściąć ostrym nożem wierzchołki, łyżeczką wybrać środki, pozostawiając ścianki na palec grube, napełnić masą mięsną, przykryć ściętymi częściami. Ułożyć na wysmarowany masłem blacik, wstawić ponownie do pieca, aby się mięso dobrze rozgrzało. Podawać bardzo gorące z sosem buljonowym, grzybowym, pomidorowym — zawsze oddzielnie w sosjerce. Można też, zamiast sosu, podać do nich świeże masło w kulkach.

„FRITTURA“ WŁOSKA

Ugotować serce cielęce, połowę płuc i nerekę, (smak można użyć na zupę cytrynową, lub inną zabielańską), ostudzić i pokrajać w cienkie na pół palca plasterki. Pół kilo wątróbki cielęcej, wymoczonej w wodzie, obciągnąć ze skórki i pokrajać w takie same plasterki. Rozpalić w rondlu szmalec, lub fryturę wołową (we Włoszech robi się tę potrawę na oliwie). Plasterki mięs gotowanych i wątróbki utarzać dobrze w mące, rzucić na rozpalony tłuszcz i smażyć, aż się ładnie obrumienia; wyjmować durszlakową łyżką na bibułę; dopiero teraz osolić bardzo miałą solą. Ułożyć w ładną piramidkę na serwetce, ubrać zielonemi gałązkami pietruszki i ćwiartkami cytryny. Podawać natychmiast



po usmażeniu, aby nie zmiękły. Oprócz cytryny można podać czysty, czerwony sos pomidorowy, lub tylko pomidorową sałatkę.

KABACZKI FASZEROWANE KAPUSTĄ

Każdy nowy przyczynek do jarskiej kuchni jest pożądany. Dotąd zwykle nadziewano kabaczki tylko mięsem z ryżem, lub ryżem z grzybami; nadziane kapustą, są bodaj że jeszcze smaczniejsze. Duży kabaćek, przeszło kilowy, lub pięć małych po dwadzieścia deka obrać delikatnie ze skórki, wyciąć pasek zwierzchu, oczyścić łyżeczką z ziarenek. Kilową główkę kapusty białej usiekać drobno, odrzucając głąb i grube żeberka liści, sparzyć wrzątkiem; po paru minutach wodę odlać, wrzucić kapustę na gotującą się, osoloną wodę, gotować nie dłużej, niż 3 minuty; odlać na sito, wycisnąć. Gdy wystygnie, zmieszać z łyżką rozpuszczonego masła, przesmażonego na biało z drobno usiekaną cebulą, dodać dwa jaja, ugotowane na twardo i grubo posiekane (kto lubi, trochę białego pieprzu). Nadziać bardzo pełno kabaczki, związać mocno grubymi niciami, włożyć do rondla na rozpuszczone masło. Gdy się nieco ze wszystkich stron obsmażą, podlać wodą i dusić, aż zupełnie zmiękną. Wyjąć ostrożnie na półmisek, zdjąć nici. Sos zaprawić mąką i śmietaną, zagotować i polać nim kabaczki. Jeśli mamy jeden duży, przekrajać go ostrym nożem na pięć równych plasterów.

BABKA KARTOFLANA

Kilo kartofli ugotować w łupinach, obrać i przepuścić przez maszynkę. Łyżkę masła utrzeć do białości z trzema żółtkami, dokładać po łyżce masy kartoflanej, aż cała wyjdzie, ucierać dalej; wlać pół szklanki śmietanki słodkiej, lub kwaśnej, osolić do smaku, wsypać dobrą garść usiekanego zielonego koperku. Nakoniec dodać ubite na sztywną pianę białka, wymieszać ostrożnie i złożyć do płaskiego rondelka, wysmarowanego masłem i wysypanego bułeczką. Wstawić w dobrze gorący piec, aby się zrumieniła dobrze, gdyż najsmaczniejszą jest chrupiąca skórka. Po półgodzinie wyjąć, wyrzucić na półmisek i wydać gorącą z sosem pomidorowym, lub koperkowym. Można tę babkę przełożyć w połowie jajami, ugotowanymi na twardo i usiekanymi, jednak i bez nich jest bardzo smaczna.

RYŻ Z GRUSZKAMI

Szklankę najlepszego, szlifowanego ryżu wsypać na rozpuszczoną w rondlu łyżkę dobrego masła i smażyć, wciąż mieszając, aż ryż nabierze słomkowego koloru; wtedy dolewać po łyżce wody i gotować wolno, aż ryż zmięknie; wymieszać go z paru łyżkami cukru, utłuczonego z wanilią. Sześć dużych gruszek twardego gatunku obrać, przekroić na połówki, ostrożnie usunąć ostrym nożykiem ziarnka, ugotować w syropie, zrobionym ze szklanki cukru na dwie szklanki wody i kawałka wanilji. Gdy gruszki miękkie, wyjąć je, syrop zaprawić sokiem z pół cytryny i łyżeczką mąki kartoflanej. Ryż ułożyć wkoło na półmisku, w środek włożyć ugotowane gruszki, wszystko polać obficie syropem i podawać gorące.

LEGUMINA ŚMIETANKOWA

Zagnieść kruche ciasto z pół kilo mąki, ćwierć kilo tłustego masła, dwóch kopiastych łyżek cukru, jednego jajka i paru kropel migdałowego, lub cytrynowego olejku. Ciastem tem wyłożyć szczelnie dno i boki rondelka; czwartą część ciasta pozostawić do dalszego użytku. Pięć żółtek ubić do białości z pięciu łyżkami cukru, dodać migdałowego, lub cytrynowego olejku dla zapachu, (może być i otarta skórka cytrynowa, lub utłuzone gorzkie migdały), filiżankę gęstej śmietanki, lub śmietany, trzy łyżki mąki i pianę z pięciu białek. Napełnić tą masą foremkę, lub rondelk, wyłożony ciastem; resztą ciasta, cienko rozwałkowaną, przykryć zgóry, szczelnie oblepić brzegi ciasta i upiec w 40 minut w nieezbyt gorącym piecu. Po wyrzuceniu na półmisek, obsypać cukrem-pudrem, a oddzielnie podać konfitury, lub syrop owocowy.

OWOCE Z KONSERWY W GALARECIE

Jakiegokolwiek owoce z konserwy: czereśnie, śliwki, renklody, gruszki i t. p., wyjąć z syropu i ułożyć ładnie na salaterce kryształowej, przekładając plasterkami oczyszczonej ze skórki i pestek pomarańczy. (Na kilową puszkę owocu—cztery do pięciu pomarańcz). Syrop od owoców zmieszać z sokiem z dwóch cytryn, dodać pół kilo cukru, trochę otartej na ostrej tarce skórki cytrynowej, lub pomarańczowej i tyle wody, aby płyn nie było mniej, niż pięć szklanek. Zagotować raz tylko, precedzić. Dziewięć listków żelatyny białej i jeden czerwonej namoczyć w zimnej wodzie, gdy dobrze wymięknie, włożyć w gorący syrop, mieszać, aż się rozpuści. Dodać dobry kieliszek araku, rumu, lub maraskina. Stygnąca już galaretą zalać owoce, (od gorącego — mogłaby salaterka pęknąć). Wynieść na chłód; gdy zastygnie, podawać w tem samym naczyniu.

NAPÓJ CHŁODZĄCY Z CZERWONEGO WINA

Oprócz mocniejszego zawsze kruszonu, bardzo dobry napój orzeźwiający można przyrządzić na czerwonym winie. Otrzeć na tarce żółtą skórę z dwóch cytryn, włożyć do wazy wraz z półtora szklanką cukru z sokiem, z tych cytryn wyciśniętym. Wymieszać dobrze żeby się cukier roztopił. Wlać na to dwie butelki czerwonego stołowego wina i tyleż wody. Przed podaniem dodać lodu, porąbanego w kawałki. Kto lubi zapach araku, lub rumu, może dodać pół szklanki jednego z nich. Ilość cukru można zmniejszyć, lub zwiększyć stosownie do gustu.

Pani Elżbieta.

LABORATORJUM HIGIENICZNYCH KOSMETYKÓW podług przepisu Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Jajeczka do mycia włosów. Płyn do włosów. „Mój puder higieniczny” we wszystkich odcieniach. Perelki białe i różowe do pielęgnacji cery i biustu. „Mój krem” (w tubkach). Krem do rąk. Galaretka na łojotok Nr 1 i 2. Krem na opaleniznę. Mydło cytrynowe, poziomkowe i liljowe. Nowość sezonu: Krem poziomkowy (wybielający). Krem cytrynowy (wybielający).

UWAGA: dla dzieci krem, puder i mydło ziołowe.

HIGIENICZNE KOSMETYKI — KRUCZ 31, m. 3.

KORESPONDENCJE

Do Sz. Prenumeratorek „Bluszczy”. Redakcja „Bluszczy” zawiadamia, że z wszelkiego rodzaju porad. nie wyłączając kosmetyki, będą mogły korzystać wyłącznie prenumeratorki „Bluszczy”. Wobec tego prosimy uprzejmie Sz. Panie o podawanie swych adresów na listach, kierowanych do nas z wszelkiego rodzaju zapytaniami.

P. M. Ułęż. Konfitury z jabłek papierówek jesiennych, lub antonówek niezbyt dojrzałych, robi się w sposób następujący: jabłka zdrowe, bez plam, kraje się, nie obierając, na talarki, z bocznej strony, nie dochodząc do środka. Plasterki powinny być całkowite i nie mieć w środku ani pestek, ani łusek. Można zgrabnie pierwszej wydrążyć środki łyżeczką, a krążki krajać grube na pół cm. Każdy wytrzeć cytryną z obydwóch stron i rzucić na syrop, zrobiony z funta cukru na funt jabłek i wysmażony do odpowiedniej gęstości. Tego syropu nalewa się $\frac{1}{3}$ część w miedniczkę od konfitur, a gdy zawrze, układa się plasterki jeden koło drugiego tak, aby cała powierzchnia była niemi nakryta. Smażyć powoli, często ściągając z ognia, a jak będą przezroczyste, wyjmować je łyżką durszlakową i od razu układać w ogrzane słoiki, przekładając co parę plasterków skórką cytrynową, albo kawałeczkami wanilii. Do pozostałego syropu dolać parę łyżek pozostawionego zimnego i smażyć krążki dalej, póki się wszystkie nie usmażą, chłodząc syrop między jedną, a drugą porcją zimnym i paroma łyżkami wody, żeby do końca nie zmienił koloru. Ułożywszy wszystkie plasterki w słoikach, zalać je przestudzonym syropem, a na drugi dzień przykryć bibułką maczaną w araku, i zawiązać papierem albuminowym. Można również, zamiast krajać jabłka w plasterki, robić z nich łyżeczką od drażenia kartofli kuleczki, z którymi postępuje się dalej, jak z krążkami. Ładnie usmażone, są przesłizne i wyglądają na niezwykle owoc. Do syropu, tak do krążków, jak do kulek, trzeba wrzucić pastylkę, całą lub pół, — zależnie od ilości — benzoesu, aby zabezpieczyć je od fermentacji i pleśnienia. Kulki powinny być małe, żeby prędko zrobiły się przezroczyste, a nie rozgotowały.

Pani M. K. z Cz. Trudno odpowiedzieć na pytanie Szan. Pani, nie znając środków, jakimi rozporządza urządzająca się osoba. Zasadą dzisiejszego umeblowania jest mieć w mieszkaniu tylko to, co rzeczywiście potrzebne, unikając modnego niedawno przeładowania. Łóżka, ze względów higienicznych, używane są przeważnie niklowe; salonu w małym mieszkanku nie urządza się wcale, zastępując go wygodnym zamieszkałym gabinetem z miękkimi meblami; jadalnia, jak zwykle, dębowa najpraktyczniejsza; firanki fabryczne białe tiulowe, albo ręcznie robione siatkowe, szydełkowe, etaminowe mereżowane etc.; portjer nie używa się przeważnie wcale; obrazy — tylko wartościowe; kwiaty cięte i doniczkowe zawsze bardzo zdobią mieszkanie. Najlepiej trzymać się zasady, żeby byle czego nie kupować, bo i modnie i praktycznie jest mieć mało rzeczy, ale pięknych; każdy zaś drobiazg, służący do upiększenia, powinien być wartościowy i w dobrym guście.

Pani J. B. w Piotrkowie. Zanim umieścimy artykuł o preparatach „Wecka”, radzimy Sz. Pani zaopatrzyć się w dwa zeszy-

ty „Życia praktycznego”, traktujące o konserwach z jarzyn i o kompotach i konfiturach. Cena obydwóch zeszytów 3 zł.; pieniądze może Sz. Pani nadesłać na konto P. K. O. Nr. 170, lub wprost do Administracji znaczkami pocztowymi. Kupując aparat Wecka, bardzo dziś już przystępny w cenie, dostanie Sz. Pani książeczkę, pouczającą, jak się z nim obchodzić, oraz jakiej temperatury i jak długi czasu gotowania wymaga każdy rodzaj konserw. Proporcja w przyrządzaniu konserw jest ta sama, co przy gotowaniu w sianie, jak się to dawniej robiło. Aparat Wecka uprościł bardzo przyrządzanie zapasów, zwłaszcza teraz, kiedy można dostać do niego słoików, wyrabianych w fabryce krajowej. — Sam aparat nie jest kosztowny; najdroższe były słoiki: obecnie, kiedy cena ich spadła, każdy powinien zaopatrzyć się w Wecka, jest on bowiem nieoceniony.

Pani N. L. Plichowczyk. Wyczerpujące wiadomości znajdzie Sz. Pani w książkach Gałczyńskiego i w 3 zeszytach „Życia praktycznego”: „Mój ogródek”. Zeszyty te dostanie Sz. Pani w Redakcji która prześle je Sz. Pani zaraz po otrzymaniu należności. Wysłać ją można na konto P. K. O. Nr. 170, albo do administracji znaczkami pocztowymi. Cena każdego zeszytu z przesyłką 1 zł. 80 gr. Broszurki A. Gałczyńskiego, bardzo wyczerpujące i polecenia godne, są we wszystkich księgarniach; skład główny w firmie ogrodniczej Ulrich — ul. Ceglana, w Warszawie. Niech Sz. Pani zwróci się do nich listownie, a wskażą warunki, na jakich mogą uwzględnić zapotrzebowanie.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dzieciinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczone w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:
obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczy”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

„Potrawy i konserwy z grzybów”

SPOSOBY UŻYTKOWANIA POSPOLITYCH I MNIEJ ZNANYCH GRZYBÓW

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„Co trzeba wiedzieć o grzybach”

WIADOMOŚCI, NIEODZOWNE DLA KAŻDEGO AMATORA GRZYBÓW

CENA 1 zł 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.